PL ISSN 0032-6143
Nr indeksu 36980

Poznaj Świat

CENA 30 ZŁ MAGAZYN GEOGRAFICZNY Nr 11 LISTOPAD 1986

Poznaj Świat

MAGAZYN POLSKIEGO TOWARZYSTWA GEOGRAFICZNEGO

NR 11 (406) ROK XXXIV

SPIS TREŚCI

Sosna E., Renik K. Nie tylko święte krowy... 3
Kabatc E. Na południe, do Apulii 6
Mizerski W. Beringia 9
Madeyski P.M. Nad górnym Irtyszem 10
Fischbach J. Kayakeri – podankarska wieś 13
Rybak A. W krainie Akha 15
CO PISZĄ INNI
Biesiada R. Indiańskim szlakiem 18
Sieczko W. Terkot modlitewnego młynka 21
Samusik J. Sabrata 23
GEOGRAFIA NA ZNACZKACH POCZTOWYCH
Drewniane koronki. 25
MAPY NA KARTACH POCZTOWYCH
Miasto i rzeka. 25
PRZEZ LĄDY I MORZA 27
RECENZJE
Życie po śmierci 30
NOWE KSIĄŻKI 31
ZAGADKI GEOGRAFICZNE . . . 31
ZACHODNI AŁTAJ (mapa do artykułu na str. 10) 32

Na okładce: park Chapultepec w stolicy Meksyku (fot. Marek Świeżewski)

Zdjęcia: J. Fischbach, K. Renik, A. Rybak, J. Samusik, W. Sieczko, E. Sosna, AP „Nowosti", Canadian Geographic, Connaissance du Monde, Sabena, Sowietskij Sojuz, Sputnik, Turist

Redaguje kolegium przy ZG Polskiego Towarzystwa Geograficznego w składzie: Z. Bielicki, R. Biesiada, P. Burchard, E. Karłowicz, T. Korman, L. Kubiatowicz, T. Lenczowski (red. nacz.), T. Mazurek, J. Ostrowski. Adres Redakcji: Mariensztat 8, 00-302 Warszawa, tel. 27-48-23.

Informacje o warunkach prenumeraty zamieszczamy na str. 30.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch" ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. 25-72-91; Biuro Reklam i Propagandy – tel. 25-35-36. Skład techniką fotograficzną, Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", W-wa, ul. Miedziana 11.
Zam. 1892/CD P-79.

Z.G. „Dom Słowa Polskiego". W-wa, ul. Miedziana 11.

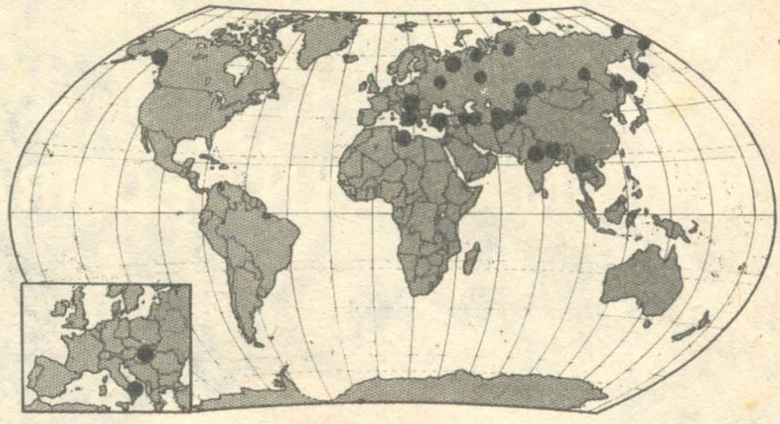

Na mapie oznaczono tereny, o których piszemy w numerze:
● – w artykułach, • – w krótkich notatkach

W JEDNYM ZDANIU

☆ NIE zważając na protesty przeciwników apartheidu, RPA zamierza stworzyć w grudniu br. piąty z kolei obszar plemienny dla ludności murzyńskiej, nazwany KwaNdebele, położony na północ od Pretorii i liczący 180 tys. mieszkańców.

☆ POD 150-letnimi budynkami dawnego szpitala wojskowego w pobliżu Akropolu w Atenach znaleziono wybrukowaną kamieniami drogę z V lub IV w. p.n.e., która przypuszczalnie łączyła teatr Dionizosa na południowym zboczu Akropolu ze świątynią Dionizosa, leżącą w odległości około 600 m.

☆ W SZWAJCARII zdarzyło się w 1985 r. najwięcej dotychczas, bo aż 226 śmiertelnych wypadków górskich, z czego 157 podczas wspinaczek, a 69 w jeździe na nartach.

☆ NA PRZEŁĘCZY Altamont, 80 km na wschód od San Francisco, ustawiono w terenie 5600 wiatraków, wytwarzających energię elektryczną na potrzeby aglomeracji.

☆ SUPERCIĘŻKIE pociągi o długości prawie 6,5 km (438 wagonów) przewożą jednorazowo 43 tys. t. węgla z kopalni odkrywkowej Ekibastuz w Kazachstanie do elektrowni na Uralu.

☆ ZBUDOWANY w 1977 r. przez kraje arabskie podwójny rurociąg Sumed o średnicy 105 cm, biegnący od Zatoki Sueskiej do terminalu Sidi–Karir na wybrzeżu Morza Śródziemnego, ułatwia transport ropy naftowej, przewożonej nie mieszczącymi się w Kanale Sueskim superzbiornikowcami.

☆ ZALUDNIENIE Egiptu, obecnie oceniane na ok. 50 mln osób stłoczonych na zaledwie 3–4 procentach ogólnej powierzchni kraju (w uprawianej dolinie i delcie Nilu), powiększa się o milion osób w ciągu każdych 280 dni.

☆ NA KUBIE ornitolodzy zauważyli pojawienie się co najmniej dwóch wielkich dzięciołów północnoamerykańskich, z dziobami jak kość słoniowa, z gatunku uważanego przez ekspertów za dawno wymarły.

☆ AKTYWNOŚĆ islamskich fundamentalistów w Egipcie wywołała m.in. nawrót kobiet do tradycyjnego nakrycia głowy i ramion, zwanego „higab" (nosi go już np. połowa studentek uniwersytetu w Kairze).

☆ HONGKONG, Japonię i Południową Koreę ma połączyć do 1990 r. podmorski system kabli telefonicznych z włókna optycznego.

☆ CHIŃSCY archeolodzy znaleźli w miejscowości Fengxiang w prowincji Shanxi ogromny grobowiec dostojnika sprzed 2200 do 2800 lat, ograbiony przez złoczyńców około 700 lat temu.

☆ SŁYNNE angielskie obserwatorium astronomiczne w Greenwich, założone w 1675 r., które wskutek utrudniającego widoczność zanieczyszczenia powietrza musiało być w 1948 r. przeniesione do zamku Herstmonceux, 100 km od Londynu, ma być z tej samej przyczyny po raz drugi przeniesione do uniwersytetu w Cambridge.

Zebrał M. KRYNICKI

Tekst i zdjęcia
EWA SOSNA
i KRZYSZTOF
RENIK

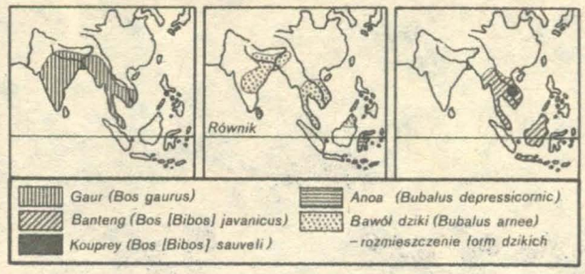

Nie tylko święte krowy...

„ŚWIĘTA krowa" – jakże często słyszymy to określenie, gdy mowa o Indiach. Podsuwa nam obraz czerwonej krasuli skubiącej trawę na jakimś wysuszonym pastwisku lub snującej się leniwie po ulicach indyjskich miast. Czy w Indiach, a szerzej w Azji Południowej i Południowo-Wschodniej istnieje jakiś jeden rodzaj krów, owych „świętych", reprezentujących azjatyckie bydło?

W Europie dzikie bydło, poza polskim żubrem, już nie istnieje. W Azji jest jednak inaczej. Na wciąż dużych jeszcze obszarach gór i lasów tropikalnych, mało skażonych przez cywilizację, żyje bydło dzikie. A obok niego występują gatunki udomowione, wiernie służące człowiekowi, dające mu pożywienie i siłę roboczą.

Ale to jeszcze nie koniec. W Azji żyją też gatunki bydła, które udomowione są jedynie częściowo: przez pewien okres służą człowiekowi, w innym zaś żyją życiem bydła dzikiego. Aby sprawę jeszcze skomplikować, należy dodać, że są w Azji gatunki, których część populacji jest udomowiona, pozostała zaś żyje jako bydło dzikie. Tak więc azjatyckie bydło reprezentuje współcześnie różne sposoby egzystencji: od gatunków w pełni udomowionych, przez udomowione częściowo lub okresowo, aż po bydło dzikie.

Przyjrzyjmy się zatem bliżej bydłu żyjącemu na azjatyckich pastwiskach i polach, na ulicach azjatyckich miast i osad, a także w leśnych ostępach. Na początek uwaga klasyfikacyjna: na południu Azji występują trzy rodzaje zoologicznego bydła – bawoły (*Bubalina*), azjatyckie bydło czołowe (*Bibovina*) i bydło właściwe – turze (*Taurina*).

BAWÓŁ DZIKI (*Bubalus arnee*) należy do rzadko spotykanych zwierząt Azji. Występuje w Indiach, na Cejlonie i na Wyspach Sundajskich. Osiąga w kłębie wysokość do 2 m, długość do 3 i wagę do 1500 kg. Ma sierpowato ustawione ogromne rogi, dochodzące niekiedy do 2 m. Dzikie bawoły żyją w wilgotnych, trawiastych lasach, w pobliżu granicy lasu, w dolinach rzek, na nizinnych terenach bagnistych, na wybrzeżach zaś lubią przebywać w pobliżu słonych lagun. Stado składa się najczęściej z 10–20 sztuk. Dzikie bawoły pasą się głównie w nocy, zaś większą część dnia spędzają pławiąc się w rzekach lub jeziorach. Na niektórych obszarach, na przykład w Asamie, pasą się i pławią w bezpośrednim sąsiedztwie nosorożców.

Wielkość żyjącej współcześnie populacji dzikich bawołów zmniejsza się z każdym rokiem. Jest to wynikiem redukcji ich naturalnych środowisk oraz polowań na nie – mimo przepisów ochronnych – w celu zdobycia mięsa, skóry oraz rogów. Istotnym niebezpieczeństwem są przypadki krzyżowania się dzikich bawołów z bawołami udomowionymi, co prowadzi nie tylko do zmniejszania się liczby dzikich bawołów czystej krwi, lecz również do przenoszenia chorób nękających bawoły udomowione do populacji dzikiej.

Bawoły dzikie sklasyfikowano w 6 podgatunkach. Jednym z najciekawszych i najrzadszych jest bawół tamarao (*B. arnee mindorensis*) żyjący jedynie na wyspie Mindoro na Filipinach. Jak to u gatunków wyspiarskich bywa jest to najmniejszy przedstawiciel rodzaju bawołów – mierzy w kłębie nieco ponad metr. W latach pięćdziesiątych żyło na Filipinach jedynie 19 stad tamarao, a łączna populacja liczyła 244 sztuki.

BAWOŁ POSPOLITY (*Bubalus arnee bubalis*) pochodzący od bawołów dzikich, jest jednym z najliczniejszych przedstawicieli udomowionego bydła Azji. Jego wielka, ociężała na pozór sylwetka jest niezwykle charakterystycznym elementem wiejskiego krajobrazu wielu krajów. Jest mniejszy od bawołów dzikich – w kłębie osiąga wysokość do 150 cm, długość do 190 i wagę do 600 kg. Podobnie jak jego dzicy przodkowie potrzebuje dużych ilości wody oraz wilgotnego środowiska. Nic zatem dziwnego, że właśnie bawołu pospolitego używają powszechnie rolnicy na południu Azji przy uprawie ryżu.

Bawół błotny i bawół rzeczny – to dwie formy bawołów pospolitych. Bawół rzeczny dostarcza mleka, bywa także używany jako zwierzę pociągowe oraz mięsne. Bawół błotny jest natomiast przede wszystkim zwierzęciem pociągowym. Oczywiś-

Banteng *(Bos [Bibos] javanicus)* – przedstawiciel azjatyckiego bydła czołowego

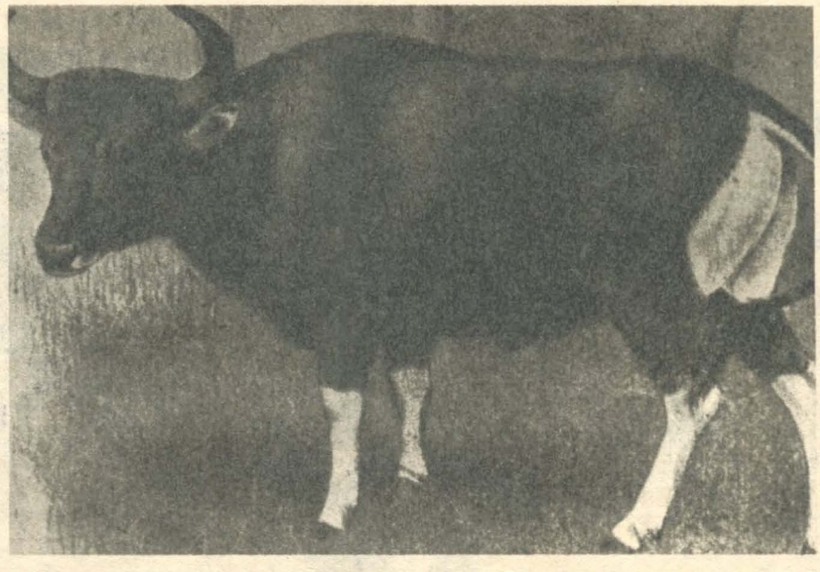

Gaury. Ich naturalnym środowiskiem są górskie lasy do wysokości 2000 m n.p.m.

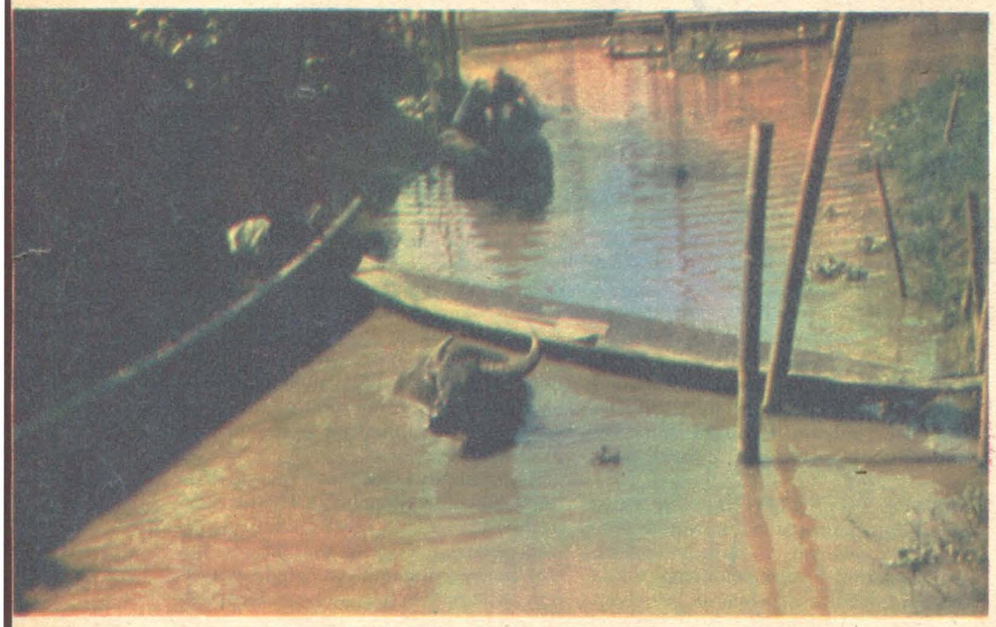

Birmański bawół błotny. Używany jest przede wszystkim jako zwierzę pociągowe

Zebu. Dzięki stosunkowo długim nogom zwierzęta te mogą szybko się poruszać

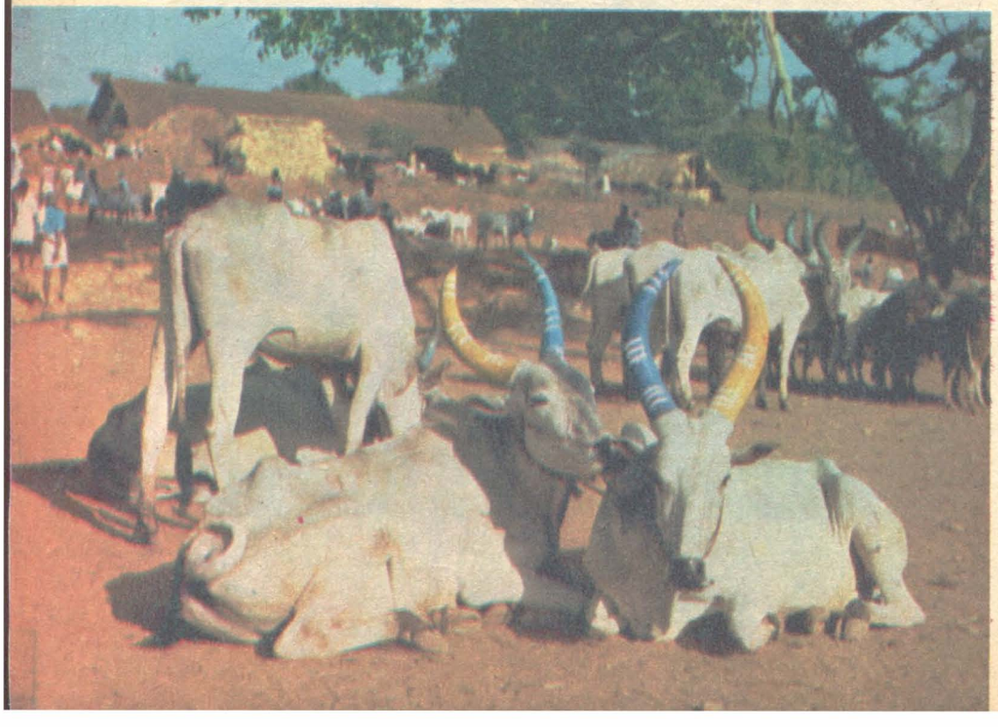

cie sposób wykorzystywania bawołów zależy od miejscowych tradycji kulturowych i tam gdzie tradycyjnie kultywowany jest wegetarianizm, również bawół rzeczny jest jedynie dostarczycielem mleka oraz siłą pociągową.

Jaka jest przydatność ekonomiczna bawołów? Bawół może zaorać 0,25 ha pola ryżowego dziennie. Dobrze żywione bawolice dają w okresie laktacji – zwykle 300 dni – do 3 tys. litrów mleka. Warto wiedzieć, iż jest to mleko zawierające od 7 do13% tłuszczu, 2–3 razy więcej niż mleko krowie. Nic zatem dziwnego, że w Indiach przeszło połowa spożywanego mleka – to mleko bawole, zaś *ghi* – jeden z najpopularniejszych rodzajów tłuszczu, odpowiednio spreparowane masło, robi się wyłącznie z mleka bawolego.

ANOA (*Bubalus depressicornic*) – to najstarszy żyjący współcześnie i najmniejszy gatunek dzikiego bydła, spokrewniony z bawołami. Ojczyzną jego jest Celebes. Zwierzę to przypomina z wyglądu coś pośredniego pomiędzy kozą a antylopą, osiąga metr wysokości, a jego waga nie przekracza 300 kg. Wydłużoną głowę wieńczą krótkie, około 25-centymetrowe proste rogi. Anoa zamieszkuje bagniste lasy i dżungle. Żyje pojedynczo lub w parach i nie łączy się w stada. Jest zwierzęciem mało ruchliwym, często spędza czas stojąc nieruchomo pośród wysokich traw.

Wśród autochtonicznej ludności Celebesu anoa budził lęk i rzadko był przedmiotem polowań. Dzięki temu ten najstarszy przedstawiciel dzikiego bydła przetrwał do czasów współczesnych. Obecnie anoa staje się gatunkiem zagrożonym. Podobnie jak w przypadku dzikich bawołów powodem jest wyniszczanie naturalnego środowiska, w którym zwierzę to żyło, oraz nasilające się polowania. Jego mięso uchodzi za smaczne, zaś skóry używają jako stroju tanecznego niektóre plemiona Celebesu.

BANTENG (*Bos [Bibos] javanicus*), przedstawiciel azjatyckiego bydła czołowego, żyje na wyspach Indonezji oraz w Birmie i Indiach. Część populacji tego zwierzęcia żyje w stanie dzikim. Banteng jest najmniejszym zwierzęciem z rodzaju azjatyckiego bydła czołowego; byki żyjące w stanie dzikim osiągają w kłębie 170 cm, udomowione są jeszcze mniejsze – 127 cm. Waga bantengów wynosi od 500 do 900 kg. Naturalnym środowiskiem tych zwierząt są bagniste lasy, bambusowe zarośla oraz tereny trawiaste z zadrzewieniami. W stanie dzikim bantengi żyją w stadach liczących do 3 byków oraz do 30 krów.

Dzikie bantengi są wszędzie – ze znanych powodów – zagrożone wyginięciem. W Indonezji dodatkowo zagrażają im polowania w celu zdobycia nie tylko mięsa, lecz również łba ze względów obyczajowych. Dajakowie z Borneo na przykład preparują i przechowują głowy bantengów na miejsce tradycyjnie preparowanych i przechowywanych w domach

odciętych głów nieprzyjaciół. Dawny obyczaj obłożony restrykcjami wygasa i dlatego populacja bantengów żyjących na Borneo maleje z każdym rokiem.

Bantengi udomowiono w XII–XIV w. na Bali oraz w XVIII w. na Jawie. Określa się je mianem bydła Bali. Wyglądem zewnętrznym różnią się niewiele od swych dzikich pobratymców. Mają dużą wartość gospodarczą: wykorzystywane są jako zwierzęta pociągowe i wierzchowe, dają także mleko oraz mięso. Mieszańce powstałe w wyniku krzyżowań bydła Bali i zebu rozprzestrzeniły się na wyspach całej Indonezji oraz w północnych Indiach.

GAUR (*Bos [Bibos] gaurus*) – to największy przedstawiciel azjatyckiego bydła czołowego. Dorosłe zwierzęta przekraczają w kłębie 2 m, a ich waga dochodzi do 1000 kg. Masywne, lekko zakrzywione rogi osiągają długość ponad metr i stanowią groźną broń tych zwierząt. Gaury żyją w Indiach oraz na Półwyspie Malajskim, gdzie znane są pod nazwą seladanga. Naturalnym środowiskiem gaurów są lasy górskie do wysokości 2000 m n.p.m. z niezbyt gęstym poszyciem, a także rzadkie zarośla bambusowe na nizinach oraz otwarte niziny trawiaste w pobliżu lasów. Gaury przebywają także w sąsiedztwie zbiorników wodnych, w których się kąpią, ale w przeciwieństwie do bawołów nie pławią.

Gaury żyją w stadach dochodzących do 30 sztuk. Rano pasą się, koło południa, wraz ze wzrastającym upałem, przenoszą się w cień lasu. Pod wieczór powracają na pastwiska. W dni pochmurne lub deszczowe są aktywne przez cały dzień. W okresie monsunu stada gaurów przenoszą się wyżej, w rejony suchsze. Współżyją pokojowo z innymi mieszkańcami tropikalnych lasów i bardziej obawiają się człowieka aniżeli tygrysa.

Gaurów nigdy nie próbowano udomowić. Podobnie jak i inne formy dzikiego bydła, gaury są gatunkiem zagrożonym. Oprócz szybkiego kurczenia się naturalnych środowisk zagrożeniem jest dla nich niezwykła podatność na choroby przynoszone do lasów przez bydło udomowione. Ograniczenie polowań oraz walka z chorobami bydła domowego zahamowały gwałtowny spadek liczebności tych zwierząt.

GAJAL (*Bos [Bibos] gaurus frontalis*) jest blisko spokrewniony z gaurem. Różni się przede wszystkim sposobem życia, jest bowiem gatunkiem częściowo udomowionym. Jego ojczyzną są Indie i Birma, a żyje w tym samym środowisku naturalnym co gaur. Bywa wykorzystywany w pracach polowych, niekiedy dostarcza także mięsa. Poza okresami prac polowych zwierzęta przychodzą do osad jedynie na noc, dnie zaś spędzają na zacienionych pastwiskach. Ludność plemienna północnych Indii i Birmy używała gajali jako zwierząt ofiarnych oraz w charakterze pieniędzy w rozliczeniach handlowych.

Bawół pospolity jest typowym elementem wiejskiego krajobrazu w wielu krajach

Wspólną cechą wszystkich kilkudziesięciu ras zebu jest charakterystyczny garb

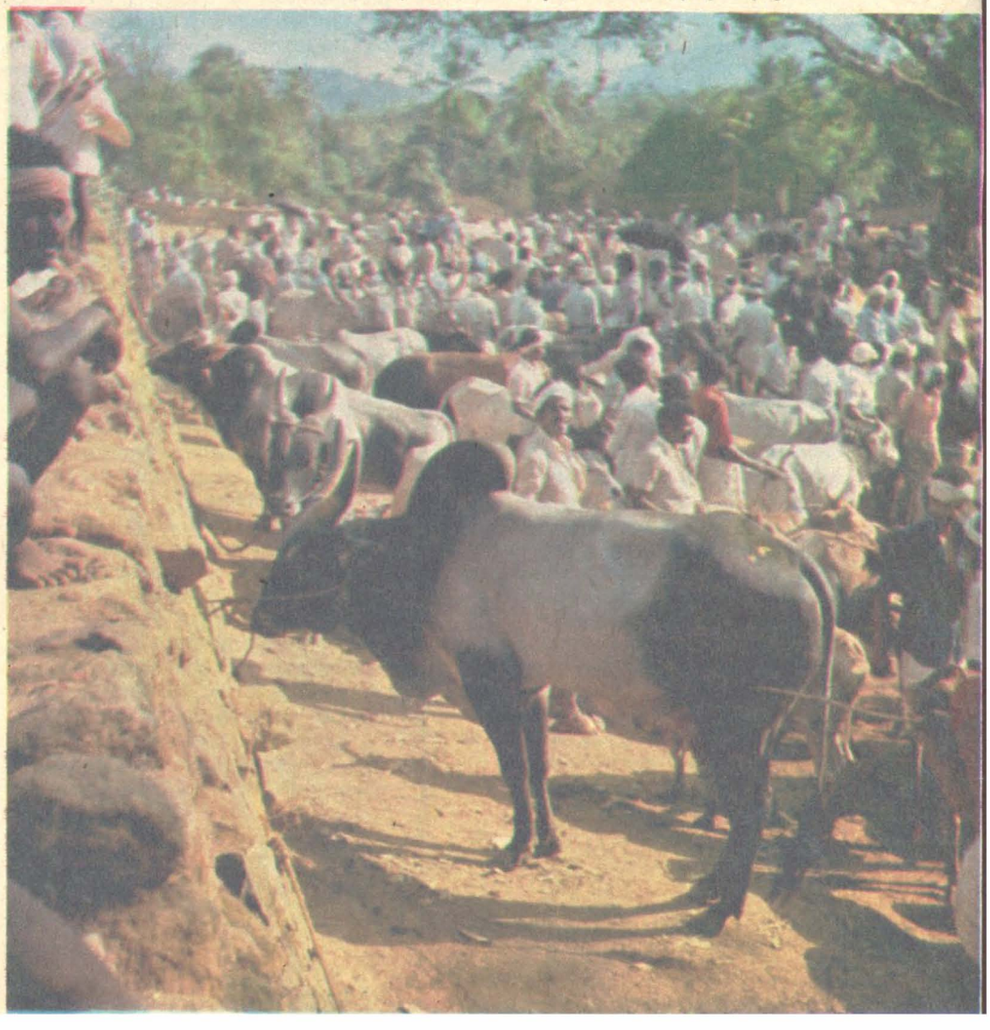

KOUPREY (*Bos [Bibos] sauveli*) jest zwierzęciem pośredniej wielkości pomiędzy gaurem a bantengiem. Zoologowie odkryli go stosunkowo niedawno, bo w 1937 r., na obszarze północno-wschodniej Kambodży. Zamieszkuje otwarte przestrzenie oraz niezbyt gęste lasy tropikalne zapewniające mu bezpieczeństwo i cień. Żyje w stadach; czasami łączy się w stada mieszane z bantengami. Należy raczej do bydła dzikiego, choć istnieją także opisy świadczące o jego częściowym udomowieniu. Jedna z teorii głosi, że kouprey był udomowiony w okresie rozkwitu kultury khmerskiej i dopiero z chwilą jej upadku zdziczał ponownie.

ZEBU (*Bos indicus*) to najpopularniejsze bydło udomowione południowej części Azji, owa indyjska „święta krowa". Zebu występuje w kilkudziesięciu rasach, różniących się między sobą budową, maścią oraz kształtem i wielkością rogów. Cechy wspólne to charakterystyczny garb i stosunkowo długie nogi, dzięki którym zwierzęty te mogą szybko się poruszać. Waga dorosłego byka zebu rzadko kiedy przekracza 700 kg.

Zebu towarzyszy człowiekowi od około 5 tys. lat, początkowo tylko w Mezopotamii oraz w dolinie Indusu. Dzikim przodkiem zebu był *Bos nomadicus*, gatunek wymarły, który żył przed setkami lat w Azji Południowej i Centralnej. W ciągu wieków udomowione odmiany pojawiały się coraz dalej na wschodzie. Współczesne rasy zebu są wynikiem zarówno prac hodowlanych, jak i krzyżowań zupełnie przypadkowych. Najbardziej znanymi obecnie rasami zebu są Sahiwal i Brahman.

Zebu jest głównie zwierzęciem pociągowym, jucznym i wierzchowym. Odznacza się równym i szybkim chodem, jest także wytrwałe w biegu. W armii indyjskiej bywa używane na równi z koniem.

Tradycja religijna zabrania spożywania mięsa zebu; jest ono zresztą twarde i niesmaczne. Mleko zebu natomiast mieszkańcy Azji piją powszechnie. Zebu jest znakomicie przystosowane do warunków klimatycznych tropiku – wydajność mleka nie obniża się nawet w temperaturze powyżej 35°C. W porównaniu z rasami krów europejskich zebu mniej potrzebują wody do picia.

Wykorzystanie zebu mogłoby być w Azji znacznie większe. Chodzi tu o prace hodowlane mające na celu podniesienie mleczności i kondycji tych zwierząt drogą bardziej racjonalnego żywienia. Indie mają już dobre stada zarodowe w państwowych stacjach doświadczalnych. Wykorzystanie tych stad mogłoby poprawić jakość zwierząt w małych gospodarstwach indywidualnych.

Uwaga ta dotyczy z pewnością także i innych udomowionych gatunków bydła azjatyckiego. Gdy zaś chodzi o gatunki dzikie – można mieć jedynie nadzieję, że programy ochrony zwierząt pozwolą im przetrwać w pradawnych ostojach, że nie podzielą one losu turów i bizonów.

Na południe, do Apulii

EUGENIUSZ KABATC

CZŁOWIEK żyje w przyrodzie, ale nie dla przyrody. Człowiek jest sam częścią przyrody, ale owoce jego działań mogą tyleż wzbogacać otaczające go środowisko, co siać w nim spustoszenie. Słowem, potrafi robić rzeczy piękne i brzydkie. Skoro są wątpliwości czy autostrada jako taka jest aby rzeczą piękną, czy swoją betonową szablą nadto nie rozcina i nie miażdży organicznej materii krajobrazu, to spróbujmy przynajmniej do minimum ograniczyć potencjalnie negatywne skutki ingerencji człowieka w naturę (a dom, czy jest „ingerencją negatywną"? Czy jedyną drogą ku zgodności ekologicznej ze środowiskiem naturalnym byłby powrót do jaskiń?), a więc naruszając jej ład, wzbogacać zarazem. Najpierw estetyką wykonywanych prac. Ładna fontanna w parku jest lepsza niż brzydka. Ta banalna zasada, że piękne jest lepsze niż brzydkie, towarzyszy Włochom (i ich protoplastom) od tysiącleci, a co z tego wynikło w ostatnich dziesięcioleciach, mieliśmy okazję widzieć niedawno w Polsce podczas wystawy włoskiego wzornictwa przemysłowego Compasso d'oro, czyli, jak po polsku powinna się nazywać, Złotej Rączki...

Jeszcze przed kilkunastoma laty powiedziałoby się, że TIR-y wypełzają na autostrady i toczą się dostojnie niczym domy na kołach. Dziś są to pędzące na oślep kamienice. Od roku włoska prasa pisze o tych „rozbestwionych monstrach" w spiralnym przerażeniu. Sądziłem, że przesadza. Teraz już tak nie sądzę... Teraz znalazła się też policja, właśnie z rykiem syren przepycha się do przodu awaryjnym pasem, bo tam przed nimi ciężarowa góra tkwi w barierze, a jej kierowca z dzikim wzrokiem pluje z góry na rozduszoną pluskwę „pandy". Cały nasz kierunek powoli zamiera.

Jest południe, upał, silniki pracują, bo jeszcze w kolumnie coś się rusza, temperatura w wozie skacze, spaliny trują.

Wesoło, nie ma co. Zwłaszcza kiedy się pomyśli, jak niewiele cię chroni przed tymi co pędzą po drugiej stronie pasa rozdzielczego, bo odbojnice sprzed przeszło dwudziestu lat projektowane były z myślą o samochodach osobowych. A w ogóle to wtedy samochodów we Włoszech, razem wziąwszy, było ledwie sześć milionów. Dzisiaj jest ich cztery razy tyle.

Ale najpierw jeszcze raz do środka, choć zupełnie innego niż te złote, płaskie ryżowiska nad Padem.

Znaliśmy dobrze tę krótką, sympatyczną Firenze-Mare, odkąd zdjęto bramki pośrednie, jeszcze bardziej płynną wśród toskańskich przytulnych wzgórz i winnic w sennym odrętwieniu oczekujących winobrania. Jedziemy bez pośpiechu, do południa jest jeszcze daleko, rozglądamy się po słoneczym świecie z miną ludzi, którym udało się trafić w dziesiątkę, tam wyżej, nad Lukką, Mario Tobino pisze książki o swoich obłąkanych w zakładzie, a właściwie już nie, gdyż nowe prawo kazało wszystkich wypuścić na wolność, bo tylko wolność – ach, jakież to piękne – przynosi zdrowie (– gdybyż było jeszcze prawdziwe...). A tam dalej, po lewej ręce, już prawie nad Prato, grób Malapartego na szczycie Spazzavento. Ale do Prato już nie dojeżdżamy, nagle na autostradzie robi się ciasno, trzeba gwałtownie hamować, na łuku widać dobrze i daleko: jak zabawki nanizane na nitkę drogi tkwią w bezruchu małe, duże i bardzo duże samochody.

Już drugi raz mamy szczęście. Pierwszy raz udało nam się jeszcze w Ligurii, gdy wypatrując w dole nad morzem miasteczka Monterosso, gdzie przez długie lata przebywał Montale, daliśmy nura w czarną czeluść tunelu, a tam nagle kotłowanina, zamieszanie, samochody w poprzek, ludzie machający rękami, gwałtowny ryk klaksonów, oszalałe reflektory, wypadek, wypadek, objeżdżać szybciej, na lewo, na lewo, nie hamować, na Boga, bo ci co pędzą za nami sto pięćdziesiąt, co nie zwalniają nawet w tunelu, w każdej chwili mogą wbić się w to skotłowacenie, a wtedy karambol i piekło, że święty Boże nie pomoże... teraz też w końcu się udaje po tym zamieszaniu początkowym, w tym zatorze, z którego wymknęliśmy się zjeżdżając z autostrady, ale przedwcześnie, co jeszcze bardziej skomplikowało sytuację, gdyż na teren węzła spoza autostrady w żaden sposób nie można się wydostać, za to można autostradą od strony Bolonii, więc trzeba było kombinując i kręcąc się jak wjun pojechać w kierunku Prato i tam znalazłszy wjazd w Calenzano, wcisnąć się w autostradę z obawą, że i tu będzie korek (nie było) i nie przegapić, i zaraz zjechać, no, ale już na miejsce, szczęśli-

wie, na ten tak ważny węzeł Firenze Nord, gdzie tuż przy ogromnym hotelu Agipu i dyrekcji okręgowej przedsiębiorstwa „Autostrady" rozpięto niczym betonowy namiot – kościół. I przypomniałem sobie, jak przed kilkunastoma laty chciał tu kręcić swoją włoską „Magdalenę" Kawalerowicz i jak mu się nie udało, bo nazbyt wiele płomyczków ścigał wtedy po manowcach. Albo i nie – kto się zdobędzie na zuchwałość, żeby światła sztuki szukać na autostradzie?

A tymczasem dworzec kolejowy we Florencji czeka na podłączenie do nowej linii; od dawna przestał być miejscem dramatycznych wydarzeń, oddając pałeczkę niesławnego pierwszeństwa obwodnicy florenckiej. Właściwie nie jest to wcale obwodnica, lecz rozległy łuk obiegającej miasto od zachodu Autostrady Słońca, która mając na tym dwudziestokilometrowym odcinku kilka połączeń z miastem i okolicznymi miasteczkami pełni z tej strony także funkcję łącznicy. To wokół niej dzieją się od dziesięciu lat rzeczy mrożące krew w żyłach. Kiedy przed kilkoma dniami jechaliśmy w stronę pobliskiego Montespertoli, gdzie nasz przyjaciel wybitny slawista, prof. Antonio R. kupił sobie na wsi dom, nie czuliśmy się najpogodniej. Dom stoi na pustkowiu, nasz przyjaciel zamieszkał w nim z młodą żoną i jeszcze młodszą córeczką i wprawdzie trzyma na łóżku nabitą strzelbę, to jednak kiedy przychodzi wieczór i na sąsiednim wzgórzu stary, pusty zamek przybiera kształt posępnej zjawy z fantastycznych snów Dina Buzzatiego, w sercu pojawia się nieoczekiwany chłód. Może dałby się opanować, gdyby Antonio rzeczowo nie przypomniał: „To niedaleko stąd, w Cascina, ten maniak zamordował dwie kolejne ofiary". Grasuje od kilkunastu lat i co roku morduje jakąś parę kochającą się w plenerze. Robi to w sposób bestialski, z wyraźną dewiacją seksualną. Wszyscy wokół mają ciężkiego stracha, nikt z tutejszych chłopców nie zanurza się już z dziewczyną w okoliczne gaje, więc przed dwoma dniami dopadł młodych Francuzów. Zostawił zniekształcone zwłoki i uciekł, jak zwykle autostradą.

Ale oto w tej cywilizacji ruchu, ruchu szybkiego, bezwzględnego w swoich wymaganiach, bo określonego także ekonomicznie, pojawia się coraz częściej refleksyjny czynnik (czy też współczynnik) kultury ponadhedonistycznej. Wygoda wygodą, radość dla oczu i błogość smacznego przeżuwania w estetycznym, przytulnym otoczeniu to bardzo ludzka sprawa, ale nie można za to płacić wszystkim. Także niszczeniem tego, co jest naszą przeszłością. Ach, budujemy rzeczy nowe, ale ziemia jako palimpsest nie wszystkim odpowiada.

Kiedy się jedzie na południe, kiedy obejrzawszy Uffizi i wystawy z okazji Roku Etrusków opuszcza się Florencję (umyka się z niej tchórzliwie) i zanurza w krajobraz Renesansu, powraca pytanie o rachunek, jaki sobie wystawiamy za nowoczesność i demokrację. O próbach dogadywania się z przyrodą już wspomniałem, tu trwają one nadal w sposób najbardziej naturalny. Wzgórza Chianti, przez które przejeżdżamy, przynoszą dziś o wiele więcej dobrego wina niż kiedykolwiek przedtem, a przy nowych technikach nawet susza staje się sojusznikiem i ten rok jakościowo będzie nad wyraz udany. Zdrowotne źródła Chianciano Terme są dziś bardziej dostępne niż kiedykolwiek przedtem. Orvieto ze swą katedrą jest co roku zalewane falą miliona turystów, co w naszym demokratycznym języku nazywa się upowszechnieniem dóbr kulturalnych. A zatem i z historią stoimy lepiej? I ze sztuką, którą się podaje ludziom jak na dłoni?

Dwie Apulie

Dziś już tego nie ma, ale jeszcze kilka lat temu, nim laboratoria przedsiębiorstwa nie wyprodukowały nowych wytrzymałościowo asfaltów, na południe od Rzymu, w stronę Neapolu, na autostradzie tworzyły się koleiny. Jest ciaśniej niż było, ale bezpieczniej. Oleandry się rozrosły, zgęstniał żarnowiec. Zjeżdżamy do Frosinone, gdzie Giuseppe Bonaviri, włoski kandydat do literackiej Nagrody Nobla, podejmuje nas znakomitym, jeszcze wciąż nie wypromowanym, czerwonym, o pięknej organoleptycznej harmonii Cesanese del Piglio. Bonaviri jest Sycylijczykiem, wino jest miejscowe, razem – pod opiekuńczym skrzydłem pani Rafaeli – tworzą najwartościowszą włoską mieszankę. Superlatyw staje się sprawiedliwszy, gdy dodamy, że gospodarz jest lekarzem, a gospodyni nauczycielką.

A potem do Cassino i na górę, na cmentarz. Byliśmy tu z żoną nieraz, o różnych porach dnia i roku, najsilniej uczucia obejmują ten skrawek polskiej ziemi o zmierzchu, gdy gwiazdy już wybiegają nad klasztor, a księżyc nie wychłodził jeszcze zmysłów... Ale i w pełni słońca, jak szept wiatru owija się jednakowo polska skarga wokół grobów katolickich, prawosławnych, żydowskich – umieranie wszędzie boli...

Jeszcze za dnia jesteśmy w Neapolu. Ale na krótko, trzeba jechać dalej. Po pożegnaniu jasnej Zatoki Neapolitańskiej ze wzgórza Vomero, z balkonu gościnnego domu pani prof. Jolanty C., naszej wybornej polonistki, wpadamy w mrok wczesnego wieczoru, w oślepiające, wzburzone morze świateł tysięcy samochodów, rozhuśtanych na falach wzgórz i węzłów podmiejskich z urojeń Felliniego, chce się natychmiast zjechać, na jakąś zwyczajną drogę, między normalnych ludzi, ale Carlo Levi przypomina mi gdzieś z zaświatów, że kiedyś obiecałem mu odwiedzić przy pierwszej okazji to biedne, na szarej skale miasteczko, dokąd zesłali go niegdyś faszyści, a o którym napisał swoją dramatyczną, oskarżyciel-

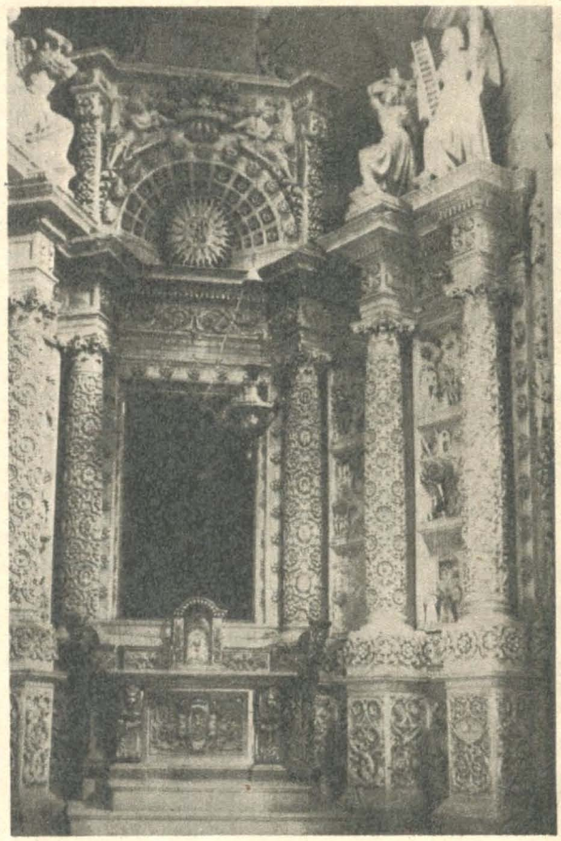

Barokowy ołtarz świętego Franciszka w kościele Santa Croce w Lecce

Wąskie uliczki starego Neapolu tętnią codziennym życiem

ską i głośną potem książkę *Chrystus zatrzymał się w Eboli*. Po stu kilometrach, za Salerno, zatrzymujemy się i my w Eboli, ale na krótko. W hotelu zajętym przez robotniczą, niedzielnie podochoconą komitywę miejsc nie ma, miasteczko wydaje się smutne, choć wcale nie biedne, rozbudowało się mocno po wojnie i tylko na wzgórzu, gdzie króluje podświetlony zamek, jest trochę przytulniej i można usłyszeć głos nędzarzy z Gagliano: „My nie jesteśmy chrześcijanie, my nie jesteśmy ludzie, Chrystus do nas nie dotarł, zatrzymał się w Eboli"...

A na tym dzikim południu właśnie zaczyna się nowa kultura. A ściślej trwa odkrywanie starej, bez której wszelka nowa to tylko atrapa i humbug. W Metaponto, już nad Morzem Jońskim, nawet z drogi widać greckie świątynie. Ale my kierujemy się dalej na południowy wschód. Do Tarentu nie ma jeszcze dobrej drogi, coś się buduje, widać początek czegoś pod miastem, pewnie poleci tu kiedyś jońska autostrada, ale na razie jest jeszcze w powijakach. A i dalej, z Tarentu do Lecce, droga jest raczej byle jaka, choć aż się prosi o coś lepszego. Jesteśmy jakby na końcu szlachetnych zamiarów, dalsze, nieprzelotowe południe już się nie liczy, za to z północą, a jakże, związki są należycie zapewnione: Tarent, jako duży, ruchliwy port i ogromna, nowoczesna huta, jest podczepiony do adriatyckiej A 14 przez Bari i Pescarę, zaś Lecce superstradą przez Brindisi.

Zostawmy teraz na stronie tę sławniejszą Apulię północną, z jej wielkimi portami, z atrakcyjną grotą w Castellana i egzotycznymi czubami *trulli* (dachów w kształcie stożków) w Alberobello; odłóżmy na bok nasze patriotyczne ciągoty i zapomnijmy na chwilę o grobowcu królowej Bony w Bari i o grobach polskich żołnierzy w Casamassima. Oddalmy się wreszcie od autostrad i zobaczmy, jak pulsuje życie w południowym zakątku regionu, na Półwyspie Saletyńskim, który jest niczym innym, jak obcasem włoskiego buta, utkwionym głęboko w morzu, a ściślej w tej niewidzialnej, tajemniczej szczelinie, jaka rozdziela Adriatyk od Morza Jońskiego. Tak właśnie nazywa się nasz sympatyczny pensjonat („Due mari") w Leuca na samym krańcu obcasa, dokąd docieramy po kolejnych trzystu kilometrach.

Etap nie był zbyt długi, mogliśmy się zatrzymać po drodze w Lecce, stolicy tej salentyńskiej prowincji i przynajmniej przez jakiś czas kontemplować urodę barokowego miasta, wyrosłego na starorzymskich szczątkach. Docierali tu Rzymianie, a jakże, mieli swoją drogę, nazywała się via Appia, tak, to ta najsławniejsza z dróg konsularnych, do dziś tu i ówdzie wśród traw i asfaltów widoczna, podobnie jak inne ślady kultury, której służyła, wraz ze starym teatrem rzymskim w samym środku Lecce. Ale miasto nie tym się chlubi (i nawet nie swoją drużyną piłki nożnej, która w zeszłym roku wdarła się do pierwszej ligi, a w tym z niej wypada, choć na zakończenie wygrała z „Romą", klubem Bońka), swoim urokliwym barokiem przyciąga ludzi, którzy w kapryśności sztuki odnajdują kontrowersyjny sens naszej – dziś i w historii – krzątaniny. Przez ten swój niezwykle bogaty barok, w którym aragońskie piętno dawnych przez Neapol z Półwyspem Iberyjskim powiązań łączy się w dekoracyjnej obfitości z geniuszem miejscowym twórców, wkracza w harmonijny układ z przyrodą, równie kapryśną jak tutejsza historia. Jest to zatem przykład udziału w czymś uniwersalnym temperamentu lokalnego, o którym można by powiedzieć, że byłby spokojny, gdyby nie mocna, jak tutejsze wina, krew. Tam, na północy, mało się o tym mówi; wina, jeśli nawet ktoś je pochwali (a jest co, bo takie „locorotondo" czy „salice rosso" mogą być chlubą każdej enoteki), to tylko dlatego, że przekroczywszy 13% mocy nadają się świetnie do „łamania" słabszych gatunków win toskańskich czy piemonckich – wydaje się, że ciągle brak im jeszcze właściwej, na szeroką skalę promocji; krew natomiast kipi naprawdę jedynie wtedy, gdy spekulanci z północy chcą ograbić z resztek dóbr i tak już biedne południe, płacąc za najpiękniejsze (najsłodsze i największe) winogrona zaledwie jedną piątą tego, co biorą potem w Rzymie lub w Mediolanie. Złoty barok apulijski, jaki najpełniej demonstruje fasada kościoła Santa Croce oraz katedra wraz z całym otoczeniem na jednym z najpiękniejszych placów włoskich, jest ciepły i pogodny, bowiem rozbuchanie formalne, które przypisuje się naturze Apulijczyków, zostało opanowane dyscypliną sztuki. Utrzymany na wodzy temperament staje się w ten sposób projekcją dobra i męstwa.

Ci z pobliskiego Otranto to męstwo przed pięcioma wiekami przypłacili życiem i zniszczeniem miasta. Jeden jedyny raz Turcy wylądowali we Włoszech i trafili do Otranto. Nie pomogła bohaterska obrona mieszkańców miasta, pomoc ze strony panujących tu miłościwie Aragończyków nie nadeszła (czytajcie Walpole'a *Zamek w Otranto* i Marii Corti *Godzina próby*), a potem krew przelaną zastąpiła nowa i wymieszała się raz jeszcze, krzyżując się z japygońską, rzymską, grecką, albańską, bizantyjską, a ślad tych krzyżówek do dziś pozostał w języku i sztuce. Stare Otranto na cyplu za murami jest spokojne i melancholijne, w sam raz dla zadziwienia się wielkiego nad zbarokowiałą od zewnątrz, lecz w środku wciąż XI-wieczną katedrą z fantastyczną mozaiką na posadzce i zdumiewającym w drewnie sufitem; i nad niewielką, prostą w architektonicznym rysunku bazyliką Świętego Piotra, odkrywając, że jest to bizantyjska cerkiewka z poprzedniego tysiąclecia ze słowiańskim tropem pochodzenia. Oto jeszcze jedno skrzyżowanie losów kultur, dla których nie ma granic poza ogniem i mieczem, albo nie: mimo ognia i miecza.

Żegnamy Apulię w Pugnochiuse. W pełnym słońcu, na burżujskiej plaży. Co za radość z ciepła i jaki smutek pożegnania! Za naszymi plecami stygną góry i lasy Gargane. Wyżymanie sentymentów... Ale czy można dziwić się nam, barbarzyńcom z północy, skoro nawet Vito Venezia śpiewa o ucieczce na południe... Autostradą, autostradą...

„Nad nami śniegi, pod nami morze, a w środku... autostrady, autostrady" – śpiewa Vito Venezia we własnej osobie wśród popołudniowych radości przed barem na plaży. Jest twórcą tej piosenki, którą jako hymn autostrad sprezentuje w sobotę wieczorem swoim zwierzchnikom z Dyrekcji Generalnej przedsiębior-

Florencja. Z mostów łączących brzegi Arno najsłynniejszy jest Ponte Vecchio

stwa. Przedsiębiorstwo nazywa się właśnie „Autostrady" i jest parapaństwową spółką akcyjną, budującą i eksploatującą te drogi szybkiego i pojemnego ruchu, które w ciągu ostatniego ćwierćwiecza tak wielką karierę zrobiły na świecie. „Autostrady" tylko w połowie wzięły na siebie odpowiedzialność za to przedsięwzięcie we Włoszech, ale to one są najbardziej ruchliwe i to ich szefowie zjadą tu z Rzymu na uroczyste zamknięcie ostatniego turnusu pozasezonowych krótkich wczasów, nazwanych „błękitnym tygodniem". Odbywa się to wszystko w luksusowych warunkach ośrodka wypoczynkowego Agipu w Pugnochiuse na Gargano (półwyspowa ostroga włoskiego buta po stronie adriatyckiej), gdzie hotelowa doba z pełnym utrzymaniem kosztuje w sezonie pięćdziesiąt dolarów od osoby, ale gdzie teraz w pierwszych dniach jesieni, dzięki staraniom samorządu przedsiębiorstwa, płaci się tylko połowę, choć słońce grzeje wciąż jak latem, a woda w cichej zatoczce wśród gór jest nadal przejrzysta i ciepła.

Pora już jednak wracać do domu. Na północ, na północ, choć także autostradą, Adriatycką, sumując wrażenia o drodze i drogach. *Boom* ekonomiczny we Włoszech na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych był równocześnie ogromnym zapotrzebowaniem cywilizacyjnym, interes splótł się z socjologią, technika z patriotyzmem i potem jeszcze na krzyż. Mnożyły się czynniki integracyjne: kulturalnie i ekonomicznie podzielony kraj trzeba było wreszcie naprawdę zjednoczyć. A więc przede wszystkim do siebie zbliżyć. Kiedy „cud gospodarczy" zatrzymał się w Eboli, ludzie z południa ruszyli na północ – gospodarcza integracja wprawdzie nie nastąpiła, ale wszędzie zrobiło się naprawdę bliżej i podmuch dobrobytu przyniósł nieco ulgi wynędzniałemu południu. Także w kulturze i naturze, w rewaloryzacji zabytków i piękna przyrody, do których ludzie z innych stron pobudzeni ambicją i popychani łatwością poruszania się, zaczęli się garnąć gęstą masą.

Włosi od wieków dumnie i ze smakiem krążą po zamkniętym kole estetyzmu. W tym kraju o wyjątkowo bogatym ukształtowaniu tektonicznym, autostrady to magiczna siatka nałożona na pejzaż, w którym pojawiają się niezwykłej urody rajskie widoki. A taki widok jest jak dobry krem na twarz i oczy, jak balsam na stresy codziennego życia, na lęki i niepewność jutra. Na starość przedwczesną i na spóźnioną młodość. Jest jak latarnia morska na wysokim brzegu, skąd widać tak wiele, że aż samemu chce się świecić na potrzeby innych. Autostrada to architektura i psychologia w kleszczach ruchu. Ale to nieprawda, że asfaltowa taśma liczy się tylko wtedy, gdy się zwija, obraca i przesuwa. Popatrzcie na nią w chwili spoczynku: oto imponujące dzieło ludzkich rąk i umysłów przenika przyrodę, jak jej żywy, rytmiczny puls.

BERINGIA

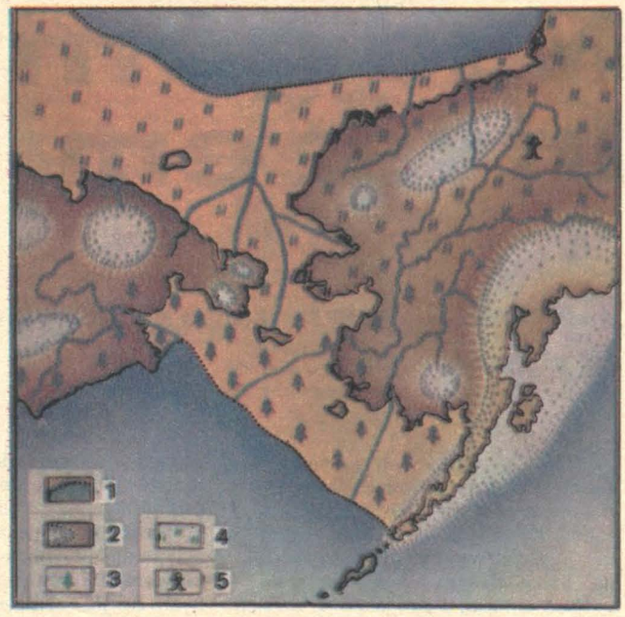

Beringia podczas ostatniego zlodowacenia. 1 – granica między lądem a morzem około 18 tys. lat temu; 2 – lodowce; 3 – tajga; 4 – tundra; 5 – stanowisko człowieka

W CIĄGU ostatniego miliona lat geologicznej historii naszej planety Amerykę Północną i Azję kilkakrotnie łączył pomost lądowy. Ten lądowy łącznik zalany dzisiaj przez morze nosi nazwę Beringii. Powstała ona wówczas, gdy ogromne masy wód morskich przekształcone zostały w lodowce kontynentalne, wskutek czego poziom oceanów znacznie się obniżył. Pojawienie się pomostu lądowego między Starym a Nowym Światem wywołało zmiany w krajobrazie, zwłaszcza zaś w składzie fauny i flory obu kontynentów.

W ciągu ostatnich kilkuset tysięcy lat lodowce kontynentalne na półkuli północnej wielokrotnie pojawiały się i całkowicie topniały. Stąd też i poziom oceanów obniżał się (w trakcie zlodowaceń) lub podnosił się do współczesnego (gdy lądolody topniały). Beringia zatem pojawiała się i znikała pod powierzchnią wód oceanicznych. Po raz ostatni pojawiła się w czasie ostatniego zlodowacenia. Beringii tego okresu poświęcony jest artykuł S.P. Gorszkowa i A.A. Switocza w miesięczniku „Priroda" (nr 3/1986).

18 tys. lat temu pomost lądowy między Ameryką a Azją osiągał przeszło 1000 km szerokości. Poziom wód oceanicznych był wówczas o co najmniej 90 m niższy od współczesnego. Na powierzchnię wynurzyły się duże partie dna Morza Czukockiego i Morza Beringa. Wynurzony ląd był płaski. Płynęły po nim liczne rzeki, biorące początek w górach Alaski i Czukotki (Jukon, Anadyr i inne).

Klimat Beringii był w owym czasie nie tylko chłodniejszy, lecz również suchszy od współczesnego. Dzięki panującemu nad nią wyżowi większość dni w roku było słonecznych.

Roślinność Beringii była zróżnicowana, co wynikało z jej położenia między Pacyfikiem a Morzem Arktycznym. Wody północnej części Pacyfiku, izolowane od wód arktycznych, ogrzewały południowe wybrzeża Beringii. Sprzyjało to rozwojowi tajgi i lasotundry w południowej części lądu. Północne wybrzeża otaczały zimne wody arktyczne. Wskutek tego klimat tej części Beringii był chłodniejszy i suchszy, a roślinność znacznie uboższa. W tundrze pokrywającej północne partie lądu żyły między innymi mamuty, nosorożce włochate i renu.

Istnienie pomostu lądowego między Azją a Ameryką Północną powodowało mieszanie się lądowej fauny i flory obu kontynentów. Tędy też przeniknął do Nowego Świata człowiek.

Mimo surowego klimatu Beringia była również miejscem życia paleolitycznych ludzi. Ówcześni jej mieszkańcy polowali na mamuty, nosorożce włochate, bizony i konie.

Beringia przestała istnieć w końcu plejstocenu – około 12–10 tys. lat temu. Ocieplenie klimatu, związane z nim topnienie lodowców i podnoszenie się poziomu oceanu nastąpiło około 14 tys. lat temu. Od tego momentu szybko zmniejszał się obszar pokryty tundrą, zmieniał się też skład fauny. Z początkiem holocenu wymarły mamuty i nosorożce włochate.

Nie wiadomo dotychczas co spowodowało wyginięcie tych zwierząt – zmiana warunków przyrodniczych czy też polujący na nie człowiek? Problem ten, być może, pomogą rozstrzygnąć dalsze badania świata roślinnego i zwierzęcego Beringii – lądu zatopionego przez wody oceanu.

Włodzimierz Mizerski

Nad górnym Irtyszem

Tekst PAWEŁ M. MADEYSKI Zdjęcia AP „NOWOSTI"

KOLOROWA MAPA NA STR. 32

ZIEMIE te pozostawały niemal zupełnie puste zdumiewająco długo. Może dlatego, że pasterze ze stadami, przyzwyczajeni do równin, niechętnie zaglądali do mrocznych wąwozów i na strome stoki gór. Może dlatego, że daleko tu mieli i cesarz chiński, i car rosyjski, i szach perski. Może wreszcie z tego powodu, że gwałtowne zmiany pogody – zaskakujące burze, śnieżne nawałnice – zdawały się zabobonnym Kazachom i Dunganom wskazywać na nazbyt częste ingerencje sił tajemnych...

Przechodziły tędy dwa szlaki karawanowe. Starszy, równoleżnikowy, był północną odnogą Wielkiego Szlaku Jedwabnego i prowadził z miast chińskich i oaz Kaszgarii nad Wołgę, Morze Czarne i dalej do centrum Europy. Drugi biegł wzdłuż Irtysza i wiódł z osad nad rzekami Syberii do ośrodków handlowych Azji Centralnej. Właśnie ta druga trasa miała odegrać szczególną rolę w dziejach regionu.

Twierdze nad rzeką

W początkach XVIII w. Piotr I, władca o szerokiej wyobraźni, zamierzył nawiązanie szerokich kontaktów handlowych z chanatami i emiratami Azji Środkowej z pominięciem pośrednictwa Turcji i Persji. Próby przetarcia takiej trasy wzdłuż wschodnich brzegów Morza Kaspijskiego okazały się mało realne. Większe szanse dawał szlak biegnący znacznie dalej na wschód, wzdłuż rzeki Irtysz.

Ale i tu istniało pewne niebezpieczeństwo. Na wschód od gór Ałtaju rozrosło się podówczas wojownicze państwo – chanat, będący związkiem koczowniczych plemion dżungarskich. Zagony, wysyłane przez chanat na wschód, zagrażały karawanom, rabowały je i wymuszały daniny. Aby temu zapobiec, z polecenia cara zainstalowano wzdłuż Irtysza ciąg twierdz i umocnionych posterunków wojskowych, który nazywano Irtyską Linią Umocnień. Zaczynała się ona od Omska i biegła setki wiorst w górę rzeki. Ostatnim jej punktem była twierdza założona w 1720 r. u ujścia do Irtyszu rzeki Ulby, którą podówczas nazywano Kamienną. Twierdzy nadano nazwę Ust'-Kamienna.

Car zmarł, plany szlaku handlowego pozostały w szufladach petersburskich urzędów. Ziemie, które osłaniała Irtyska Linia Umocnień przekazano do dyspozycji uralskiego bogacza Demidowa. Przysłał on tu wprawdzie znawców rud i jako kopaczy kilkuset chłopów pańszczyźnianych, ale głównym terenem jego penetracji były obszary położone dalej na północny wschód, w pobliżu Barnaułu. Tam też znaleziono pierwsze zauralskie złoża miedzi. Po śmierci Demidowa ziemie na Ałtaju przeszły na własność rodziny carskiej.

A nad Irtyszem nie działo się nic. Kiedy w 1757 r. rozpadł się chanat dżungarski i groźba najazdów minęła, stopniowo pustoszały również posterunki wojskowe. To jednak zaczęło przyciągać takich przybyszów, którym nie zależało na sąsiedztwie przedstawicieli władzy. Docierali tu uciekinierzy z syberyjskiej katorgi, zbiegli chłopi pańszczyźniani, którzy osiedlali się w trudno dostępnych dolinkach, a także źle traktowani czeladnicy z uralskich szlifierni i kuźni, którzy na nowych terenach postanowili na własną rękę poszukiwać ciekawych minerałów. Po roku 1760, po kolejnej fali prześladowań starowierców w zachodnich guberniach Rosji, wiele ich grup, w poszukiwaniu izolowanych i jeszcze nie zaludnionych obszarów, zaczęło się przenosić nad dopływy Irtysza. Nad Ubą i Ulbą założyli oni liczne, długo izolowane od świata gminy.

Odkrycie porucznika Riddera

Obszar południowo-zachodnich łańcuchów Ałtaju wyniesiony był geologicznie około 220 mln lat temu, a orogenezie towarzyszył energiczny wulkanizm. W strefach kontaktu mas wylewnych i skał osadowych uformowały się złoża rud polimetalicznych. Erozja sprawiła, że niektóre złoża znalazły się blisko powierzchni, a orogeneza alpejska uformowała zerodowany obszar w izolowane od siebie masywy i bloki. Na stokach młodych gór pojawiły się liczne wychodnie rud, tym liczniejsze, że działalność wartkich potoków, jakimi są prawe dopływy Irtysza, sprzyjała ich obnażeniu.

Penetracja obszaru przez wielu wywodzących się z Uralu znawców rud (*rudoznatcy*) doprowadziła do odkrycia rud miedzi, srebra, ołowiu, potem także cynku i złota. Większość tych odkryć była dziełem anonimowych poszukiwaczy, niektóre jednak związane są z konkretnymi osobami.

O jednym godzi się wspomnieć nie tylko dlatego, że właśnie minęło jego dwustulecie; odkrycie to miało szczególne znaczenie dla dziejów regionu.

Otóż rodzina carska, właściciel ziemi i jej zasobów, korzystała z usług nie tylko *rudoznatców*, którym za odkrycie przysługiwało bardziej czy mniej godziwe wynagrodzenie, lecz i wojska. Kraj przemierzały grupy żołnierzy dowodzone przez oficerów z wykształceniem górniczym. Jedną z nich prowadził porucznik Filip Ridder. W roku 1786 Ridder donosił: „Nad rzeczką, którą ośmieliłem się nazwać Filipowka..." – i dalej następował opis złoża, które „...miało w sobie złoto, srebro, miedź i ołów".

W ciągu kilku lat zbudowano tu kopalnię, wyrosło osiedle, które nazywano Ridderskim, a potem po prostu Ridder. Osiedle z czasem przekształciło się w miasto, które do ostatniej wojny było największe w regionie. Od roku 1941 nosi ono nazwę Leninogorsk. Sam zaś region – obszerny pas górskiego prawobrzeża Irtysza – nazwano Rudnym Ałtajem, od niezliczonych złóż rud polimetalicznych (dziś zarejestrowanych około 900), ciągnących się pasem równoległym do rzeki.

Pod koniec XVIII w. czynnych już było kilkadziesiąt kopalń rud. Gabinet cara, który zarządzał nimi, miał ogromne trudności ze znalezieniem pracowników. Radzono sobie w ten sposób, że sprowadzano setkami chłopów pańszczyźnianych ze wsi, stanowiących również własność rodziny carskiej. Równie uciążliwy był wywóz rudy – na miejscu pracowały tylko niewielkie piece hutnicze. Wożono ją w workach na grzbietach koni, a następnie barkami w dół Irtysza.

Rudny Ałtaj dawał miedź, ołów, złoto i srebro. Ogromną większość tak pospolitych w Rosji srebrnych monet bito z kruszcu pozyskiwanego na Ałtaju. Do roku 1890 region dał 2650 ton srebra, 150 tys. ton ołowiu, 31 tys. ton miedzi i niemal 3 tony złota.

Kryzys i cudzoziemcy

Rudny Ałtaj przynosił rodzinie carskiej ogromne dochody. Ale dość nagle stał się on deficytowy. Oto bowiem mniej więcej w tym samym czasie, 125 lat temu, przeprowadzono w Rosji uwłaszczenie chłopów, które pozbawiło kopalnie darmowej siły roboczej, a na rynkach światowych gwałtownie spadły ceny srebra. Ałtajskie kopalnie zaczęto zamykać.

Rudnym Ałtajem zainteresowali się cudzoziemcy. Zdawali sobie sprawę, że zastąpienie chłopów pańszczyźnianych kadrą górniczą, wprowadzenie najprostszej choćby mechanizacji, częściowe wzbogacanie rud na miejscu, wykorzystanie hałd

(znalazł się w nich cały cynk, jedna trzecia srebra, sporo miedzi) i usprawnienie transportu może deficytowe przedsiębiorstwa przeobrazić w przynoszące zyski.

Na Ałtaju pojawiły się zagraniczne firmy. Skarb carski odstępował unieruchomione kopalnie Anglikom, Belgom, Francuzom, Austriakom, Niemcom. Cudzoziemcy starali się skupiać w swoim ręku całość procesu pozyskania metalu. Tak na przykład przedsiębiorca, który posiadał kopalnie w Ridderze i wzniósł tam zakład wzbogacania rudy oraz piece hutnicze, był jednocześnie właścicielem linii parostatków na Irtyszu i kopalni węgla w Ekibastuzie. Mógł zatem do kolei w Omsku dowozić rzeką gotowe kęsy metalu...

Władza radziecka upaństwowiła zakłady, ale przemysł wydobywczy na Rudnym Ałtaju trzeba było odbudowywać nieomal od podstaw. Dużą rolę odegrało w tej mierze doprowadzenie linii kolejowej, co m. in. umożliwiło dowóz paliw i rozbudowę przetwórstwa rud w rejonach wydobycia. W Ridderze stopniowo odbudowano kopalnie, zakład wzbogacania rud, a także zbudowano hutę, która w 1926 r. dała pierwszy ołów. Z tych zakładów powstał z czasem Kombinat Metali Nieżelaznych, jeden z większych zakładów hutniczych w Kazachstanie.

W roku 1941, po napaści Niemców, na wschód zaczęły ciągnąć pociągi wiozące z zachodnich obwodów ewakuowane fabryki, instalacje, ludzi. Można było sądzić, że 50-tysięczny podwówczas Leninogorsk, podobnie jak wiele innych ośrodków przemysłowych Uralu, Syberii, Kazachstanu, wchłonie ewakuowanych, szybko się rozrośnie. Tak się jednak nie stało.

Gdzie Ulba wpada do Irtysza

Miasto Ridder powstało przed dwustu laty bezpośrednio w sąsiedztwie wychodni rud, pośród dość stromych wzgórz nad Ulbą, na wysokości 1020 – 1055 m n.p.m. Kiedy wznoszono obiekty kombinatu i osiedla mieszkaniowe dla hutników, trzeba było wielokrotnie plantować teren. Parcel pod zabudowę było coraz mniej, rosnące miasto z trudem wciskało się w dolinki potoków górskich Gromatuchy i Bystruchy.

Trudno dziś dociec, kto wpadł na pomysł, by pociągi z ewakuowanymi zakładami kierowane do Leninogorska rozładowywać wcześniej, na brzegu Irtysza. Było wtedy w tym miejscu, u stóp dawnej twierdzy Ust'-Kamienna, senne miasteczko o nazwie Ust'-Kamienogorsk. Mieszkańcy zajmowali się handlem, obsługą pociągów do Leninogorska oraz statków i barek na Irtyszu. Przemysłu – poza małymi zakładami spożywczymi – prawie nie było. Za to było pod dostatkiem terenów pod zabudowę po obu stronach Ulby na prawym brzegu Irtysza, obfitość wody i nadzwyczaj dogodne położenie, umożliwiające komunikację zarówno z każdym zakątkiem Rudnego Ałtaju, jak i z resztą Kazachstanu i południem Syberii.

Miasto rosło jak na drożdżach – zarówno w czasach wojny, jak i w latach powojennych. Pociągnięto stąd linię kolejową do Zyrianowska, w sąsiedztwie którego zalegało kilka dużych złóż rud polimetalicznych, kilka szos. Zbudowano Kombinat Cynku i Ołowiu, do którego rudy sprowadzano z pobliskich kopalń, a węgiel z Ekibastuzu i Karagandy. W niedługim czasie zakład ten przerósł rozmiarami i produkcją leninogorski.

Podczas spisu ludności w 1939 r. naliczono w Ust'-Kamienogorsku 20 tys. mieszkańców. W dwadzieścia lat później było tam już 150 tys. osób. Maleńka do niedawna mieścina stała się piątym miastem Kazachstanu.

Ważnym etapem w rozwoju Ust'-Kamienogorska stała się na początku lat sześćdziesiątych budowa – Kombinatu Tytanowo-Magnezowego. W ten sposób miasto włączyło się do przemysłu lotniczo-rakietowego, tak szybko rozwijającego się w Kazachstanie.

Rozbudowa Ust'-Kamienogorska trwa nadal. Nowe dzielnice przerzuciły się już na lewy brzeg Irtysza. Liczba mieszkańców miasta przekroczyła 300 tys. osób.

Zatopione jezioro

Już w pierwszym okresie instalacji zakładów przemysłowych Ust'-Kamienogorsk zaczął odczuwać niedostatek energii elektrycznej. Elektrownia cieplna, wykorzystująca przywożony węgiel, tylko po części rozwiązywała ten problem. Dlatego też wkrótce po zakończeniu wojny przystąpiono do budowy w pobliżu miasta elektrowni wodnej na Irtyszu.

Warunki po temu były bardzo korzystne. Powyżej miasta rzeka płynie w dość wąskiej dolinie, ściśnięta z obu stron łańcuchami wysokich wzgórz. W odległości 10 km od Ust'-Kamienogorska przecięto Irtysz zaporą wysokości 50 m i długości w szczycie 390 m. Powstał zbiornik długości przeszło 80 km i szerokości do 2 km, o powierzchni 37 km^2 i pojemności 850 mln m^3. Elektrownia wodna dała pierwszy prąd w 1952 r.

Inwestycja ta nie rozwiązała problemów energetycznych Rudnego Ałtaju, zresztą była ona w pewnym sensie przygotowaniem do większego przedsięwzięcia.

Podjęto je w kilka lat po zbudowaniu pierwszej zapory. Poniżej ujścia do Irtysza dopływu Buchtarmy przegrodzono rzekę zaporą wysokości 92 m. Zaczął się wypełniać wodą zbiornik, który miał być zupełnie inny od pierwszego. Otóż Irtysz płynie tu rozległą, płaską Kotliną Zajsańską. Nowo powstający zbiornik miał wypełnić najniższą część tej kotliny.

Ale woda tam już była. Irtysz przepływał bowiem przez płytkie jezioro Zajsan o głębokości 8 m i zmiennej powierzchni, wynoszącej średnio 1800 km^2. Poziom zwierciadła jeziora Zajsan znajdował się na wysokości 386 m n.p.m., natomiast Zapora Buchtarmińska miała spiętrzyć wody Irtysza do poziomu 392 m, a zatem przyszły zbiornik miał przykryć dotychczasowe jezioro 6-metrową warstwą wody.

Tak się też stało. Jezioro Zajsan znikło z map, przynajmniej w dotychczasowej postaci, bo południową, szeroko rozlaną część Zbiornika Buchtarmińskiego nazywa się często tradycyjnie jeziorem Zajsan. A nowy zbiornik jest największym ze sztucznych jezior Kazachstanu, zajmuje bowiem obszar 5,5 tys. km^2.

Okiem ekologa

Budowa Elektrowni Buchtarmińskiej wywołała ożywione dyskusje w środowiskach przyrodników, ekonomistów i eko-

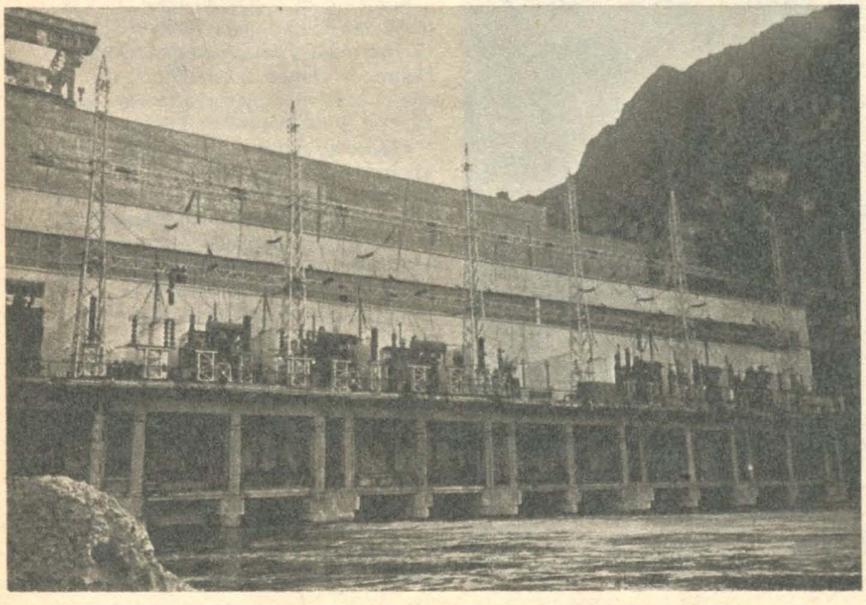

Zapora Buchtarmińska tak spiętrzyła wody Irtysza, że przykryły one jezioro Zajsan

Malowniczą doliną rzeki Ulby przebiega linia kolejowa z Ust'-Kamienogorska do Leninogorska

logów. Wielu z nich było zdania, że zatopiono obszar nieproporcjonalnie duży w stosunku do mocy samej siłowni (525 MW), a zatem popełniono błędy w sztuce projektowania. Dyskusja ta była o tyle istotna, że zapoczątkowała debaty specjalistów i działaczy wokół każdej tego rodzaju inwestycji, z tym, że teraz toczą się one na etapie projektowania, a nie po zakończeniu budowy.

Zainteresowanie ekologów towarzyszy zresztą całości poczynań gospodarczych w Rudnym Ałtaju, jako że dobywanie i przetwórstwo rud metali nieżelaznych jest z reguły źródłem silnego skażenia środowiska. Rudny Ałtaj nie jest pod tym względem wyjątkiem, chociaż przemysł jest tu rozmieszczony na znacznym obszarze. Rudy wydobywa się w pasie przeszło 300 km, trzy główne punkty przetwórstwa – Leninogorsk, Ust'-Kamienogorsk i Zyrianowsk – są od siebie dość odległe. Nie dochodzi zatem do nadmiernego skupiania się szkodliwych gazów i pyłów.

Dość istotny jest także postęp w wykorzystywaniu rud. Oprócz wymienionych uprzednio pięciu metali uzyskuje się z nich także kadm, tellur i tal, ostatnio również bizmut. Częściowo przerabia się ponownie stare hałdy, w których pozostało jeszcze wiele poszukiwanych metali. Od ubiegłego roku tzw. szlamy poprodukcyjne Kombinatu Tytanowo-Magnezowego wykorzystuje jako jeden z surowców cementownia w Ust'-Kamienogorsku.

Również od roku ubiegłego istnieje w tej części Ałtaju pierwszy w obwodzie wschodniokazachstańskim rezerwat przyrody. Znajduje się on na jeziorze Markakol, jednym z ciekawszych pod względem krajobrazowym zakątków regionu.

Prawobrzeże Irtyszu, w przeciwieństwie do stepowego, a miejscami nawet półpustynnego lewobrzeża, jest regionem pod względem warunków przyrodniczych bardzo interesującym. Góry sprawiają, że wiatry zachodnie i południowo-zachodnie zostawiają tu stosunkowo dużo wilgoci – od 600 do 950 mm rocznie. Toteż są one w większości zalesione – od wysokości 850 do 1500 m n.p.m. przeważają lasy liściaste i mieszane, wyżej spotyka się głównie modrzewie i świerki z domieszką limby syberyjskiej i jodły, występujące wyspowo, zwłaszcza powyżej 1900 m n.p.m. Tu bowiem wkraczają bogate łąki alpejskie z urozmaiconą roślinnością krzewiastą w dolinkach i obniżeniach terenu.

W takiej właśnie krainie dno szerokiej doliny śródgórskiej wypełnia jezioro Markakol o powierzchni 460 km^2. Przy maksymalnej głębokości 27 m zawiera ono 6,5 km^3 niezwykle czystej wody słodkiej. Do jeziora wpada kilkaset górskich rzeczek i strumieni, wypływa tylko jedna rzeka – Kałdżir, prawy dopływ Czarnego Irtysza. Markakol położony jest 1499 m n.p.m. i na jego brzegach spotkać można wszystkie typy miejscowych lasów, łąki alpejskie i osypiska skalne; płyciny porasta sitowie.

Ornitologowie naliczyli tu 230 gatunków ptaków, a więc pod względem ornitofauny Markakol nie ma sobie równych w Kazachstanie. Dużo jest w jeziorze ryb i bezkręgowców, a brzegi obfitują w zwierzynę, w tym także gatunki będące pod całkowitą ochroną (pantera śnieżna, kuna kamienna).

Rezerwatem objęto na razie 61% powierzchni jeziora i małe skrawki wybrzeża. Przyrodnicy domagają się jednak rozciągnięcia statusu rezerwatu na całe jezioro i część otaczającej je kotliny. Zapobiegnie to nadmiernemu wyrębowi lasu i wypasowi owiec, a przede wszystkim kłusownictwu, panoszącemu się szczególnie w okresie tarła poszukiwanych gatunków ryb. Stanowisko takie spotyka się z szerokim poparciem społeczeństwa; znamienny jest pod tym względem reportaż w „Prawdzie" (z 7 sierpnia br.), która udziela pełnego poparcia zwolennikom rozszerzenia rezerwatu.

Warto bowiem, by obok Ałtaju pracowitego, Ałtaju wielkich zakładów i kopalń, zachowały się fragmenty nietkniętej przyrody, szczególnie tu bogatej i urodziwej.

Ust'-Kamienogorsk jest jednym z najszybciej rosnących ośrodków miejskich Kazachstanu

Kayakeri – podankarska wieś

Tekst i zdjęcia JAROSŁAW FISCHBACH

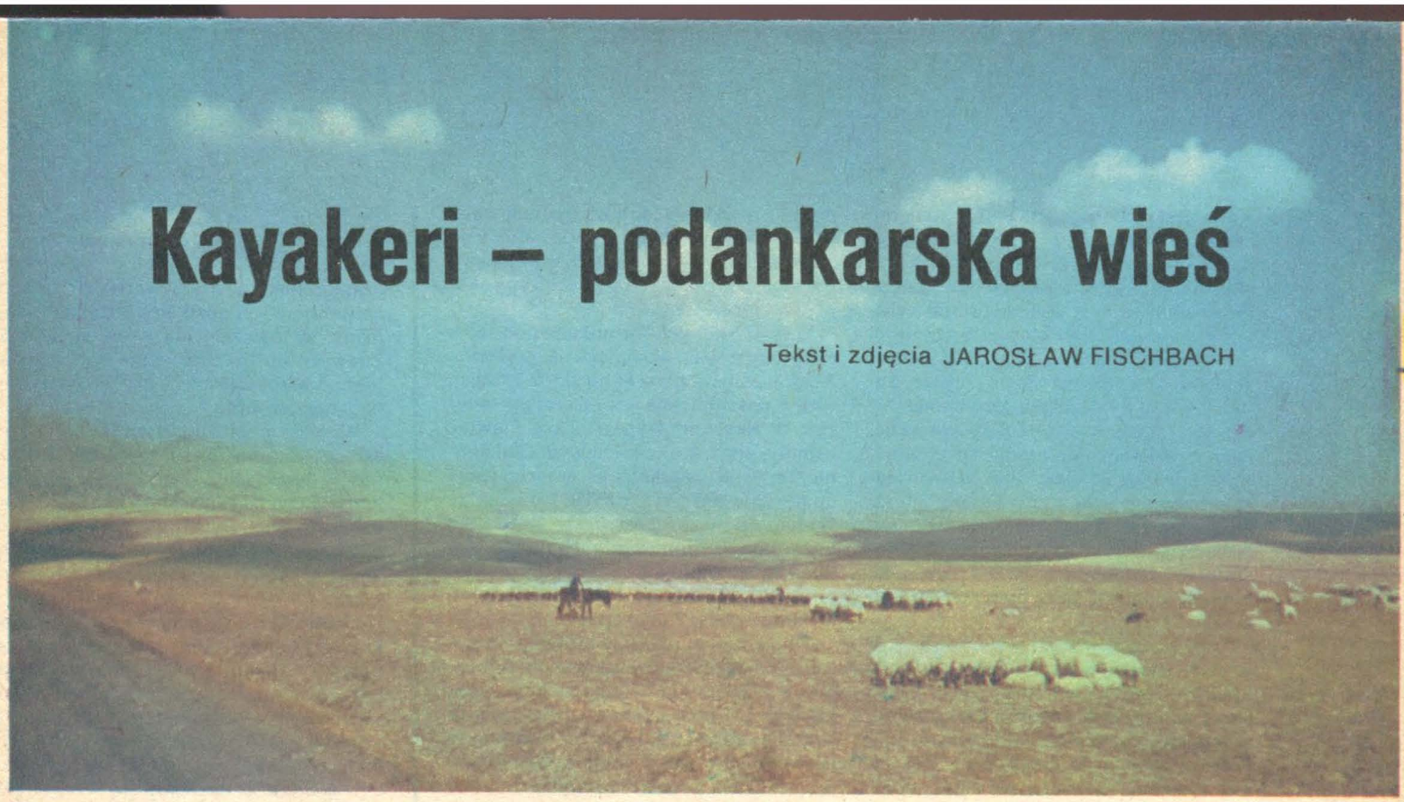

PODCZAS azjatyckiej wyprawy geografów z Uniwersytetu Łódzkiego odwiedziliśmy małą anatolijską wioskę Kayakeri odległą o około 18 km na południowy wschód od Ankary.

Powitał nas *muhtar*, czyli szef wioski, sędziwy Turek o długich, sumiastych wąsach. Przyjechał na małym osiołku, w ręku dzierżył długi sękaty kij, którym usiłował nam wyperswadować zwiedzanie wsi. Towarzyszący nam profesor Akkan z uniwersytetu w Ankarze zdołał po długich pertraktacjach przekonać *muhtara* o naszych dobrych intencjach. Pozwolenie dostaliśmy z jednym zastrzeżeniem, aby nie fotografować kobiet i dzieci. W wędrówce towarzyszył nam *muhtar*.

Zwiedzanie Kayakeri rozpoczęliśmy od meczetu, znajdującego się w centrum wsi. Wnętrze jego jest bardzo ubogie, główne miejsce zajmuje ołtarz usytuowany – jak we wszystkich świątyniach islamskich – tak, aby twarze modlących skierowane były w stronę Mekki. Wokół ołtarza umieszczono okrągłe tabliczki z wypisanymi imionami świętych muzułmańskich. Parter przeznaczony jest dla modlących się mężczyzn, natomiast kobiety i dzieci zajmują miejsca na balkonie. Ze względu na ubóstwo mieszkańców, wsi nie było stać na wybudowanie minaretu, z którego powinno rozbrzmiewać śpiewne nawoływanie wiernych do modlitwy.

Następnie zaproszono nas na poczęstunek do jednego z domów. Gospodyni specjalnie dla nas upiekła chleb – długie, bardzo cienkie placki z mąki pszennej. Pragnienie gasiliśmy tutejszym kumysem, czyli zsiadłym mlekiem oślim, pitym przez wszystkich z jednego naczynia.

Większość domów w Kayakeri zbudo-

Kobiety, nieufne, nie wykazywały chęci nawiązania kontaktów z gośćmi i trzymały się blisko swych domów

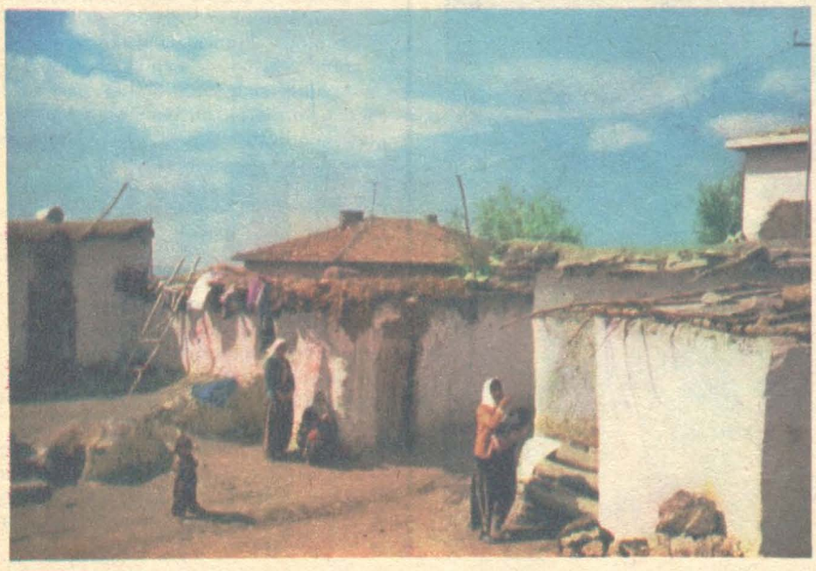

Mieszkańcy Kayakeri żyją głównie z hodowli owiec, którym wystarcza skąpa tu roślinność

Dzieci, jak wszędzie na świecie, już po kilku minutach przemogły strach przed przybyszami

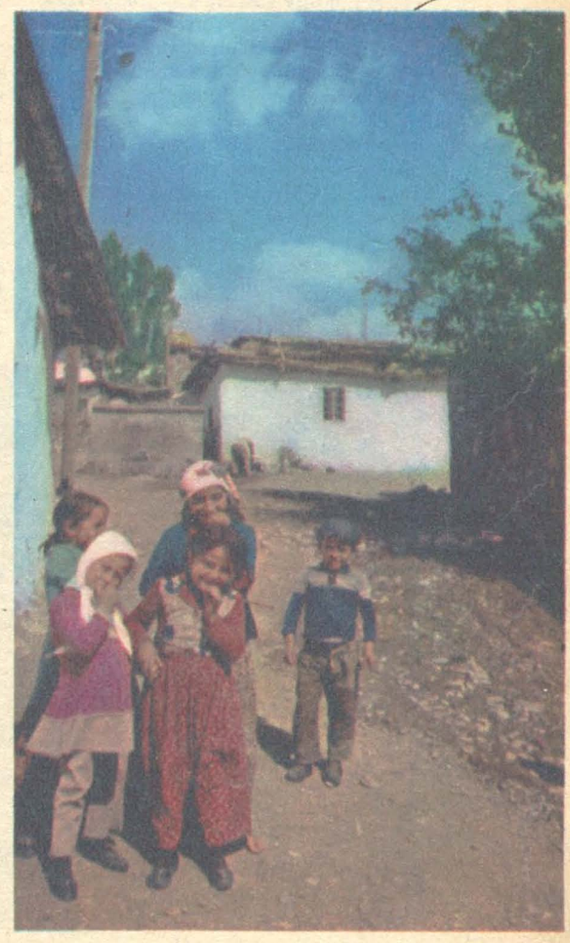

wana jest z kerpidżu, tj. niewypalanej cegły z gliny zmieszanej z sieczką. Budynki są zazwyczaj niskie, przykryte płaskim dachem z drewnianych pali i gałęzi. Ze względu na duże zróżnicowanie wysokości w obrębie wsi, domy wznoszą się na różnych poziomach; często jedną ze ścian stanowi stok skalny. Powierzchnia budynków jest duża, gdyż rodzina anatolijska jest liczna, wielopokoleniowa; przeciętnie w każdym gospodarstwie domowym mieszka 15 osób. Pod jednym dachem znajdują się zarówno izby mieszkalne, jak i pomieszczenia dla zwierząt. Na zewnątrz domu, pod niewielkim zadaszeniem chroniącym przed słońcem, umieszczony jest mały piec do wypieku chleba.

Typowy dom wiejski wyposażony jest w wiele dywanów i kilimów oraz skrzyń i kufrów. Nas zdziwił brak krzeseł. Siada się tu na kilimach rozłożonych na ziemi, z nogami skrzyżowanymi „po turecku". Przed wejściem do domu, podobnie jak i do meczetu, obowiązkowo należy zdejmować obuwie.

W Kayakeri, jak i w innych wsiach anatolijskich, nadal przeważa strój tradycyjny. Mężczyźni zwykle ubrani są w szarawary spięte pasem, na głowie noszą kołpaki lub fezy. Te ostatnie spotyka się rzadziej, gdyż noszenia ich zakazał kiedyś Atatürk. Kobiety, które spotkaliśmy we wsi, nosiły koszule z szerokimi rękawami, barwne szarawary, na które często nakładały fartuch lub spódnicę, a głowy okryte miały białymi chustami.

Wieś Kayakeri położona jest na wysokości 1200–1250 m n.p.m., na stokach wzgórza zbudowanego ze skał osadowych. Budowa geologiczna, a także suchy klimat wpłynęły na słabe wykształcenie sieci wodnej. W obszarze tym silne są procesy erozyjne, dobrze rozbudowana jest sieć suchych dolin. Niedostatek wód powierzchniowych oraz głębokie zalegание wód podziemnych są przyczyną skąpej szaty roślinnej.

W tych trudnych warunkach podstawą egzystencji jest ekstensywna hodowla. Anatolia słynie z kóz angorskich, których wełna poszukiwana jest na całym świecie. W Kayakeri wypasem kóz i owiec zajmują się kilkuletni chłopcy. Codziennie rano na osiołkach w asyście psów opuszczają oni wieś, udając się wraz ze stadem na jałowe pastwiska, porośnięte wyłącznie roślinnością sucholubną. Do obowiązków chłopców należy także zbieranie łajna krowiego, które – wysuszone na słońcu – służy jako opał.

Mniej więcej dziesięć lat temu na pobliskim wzgórzu zainstalowano stację radarową. Dla jej sprawnego funkcjonowania wybudowano asfaltową drogę łączącą Ankarę z Kayakeri. Ułatwiło to kontakty mieszkańców wsi z wielkim ośrodkiem miejskim. Do Kayakeri zaczęły przenikać innowacje z metropolii. Nosicielami ich początkowo byli zamożni mieszkańcy stolicy, którzy przybywali tu samochodami, aby zaopatrywać się w pobliskich źródłach w doskonałą wodę pitną. Niektórzy mieszkańcy Kayakeri zaczęli odwiedzać Ankarę, a kilku z nich porzuciło rolnictwo i zajęło się lepiej płatnym rozwożeniem wody w stolicy.

Od tego czasu wygląd wsi zaczął się zmieniać; zaczęto budować wyższe, podpiwniczone domy o dachach krytych czerwoną dachówką, doprowadzono elektryczność, wybudowano szkołę, zakupiono traktor. W wielu domach pojawiły się radioodbiorniki i telewizory.

Mimo tych zmian wieś jest nadal konserwatywna. Aby zmienił się sposób życia i myślenia jej mieszkańców, musi upłynąć wiele lat. Wieśniacy z Kayakeri jakby przeczuwając, że cywilizacja niesie nie tylko same korzyści są ostrożni w kontaktach z obcymi.

W pobliżu meczetu usytuowany jest muzułmański cmentarz

NAPRZECIW nas na wąziutkiej ścieżce pojawiły się dwie kobiety z dużymi koszami na plecach. Ich głowy zdobiły czapki bogato wyszywane srebrnymi i aluminiowymi guzikami. Po nich poznaliśmy, że należały do plemiania Akha. Zdawały się być ubawione tym spotkaniem i wśród głośnych okrzyków wymineły naszą grupkę.

Wkrótce doszliśmy do wioski Akha. Położona na górskim siodle liczyła kilkanaście dużych chat i sprawiała w promieniach zachodzącego słońca wrażenie bardzo ożywionej. Była to pora wieczornego powrotu z pól; kobiety miały na plecach wielkie kosze wyładowane płodami ziemi.

Chaty Akha są większe od domostw innych plemion zamieszkujących lesistą północ Tajlandii. Mają potężny dach i przedzielone są w połowie niewysokim trzcinowym parawanem na część kobiecą i męską. Mają zwykle po dwa paleniska, dwie odaszone werandy i dwa wejścia. Gdy jednak znaleźliśmy się we wsi, jej mieszkańcy zachowywali się w stosunku do nas bardzo wstrzemięźliwie, nieskorzy byli do pokazywania swoich domostw. Po zakwaterowaniu nas w jednej z najprymitywniejszych chat w wiosce, bo tylko o jednej izbie, szybko się ulotnili. Poczuliśmy się bardzo nieswojo.

Dopiero następnego dnia zrozumieliśmy przyczyny chłodnego przyjęcia – wioska pogrążona była w żałobie po śmierci starszego mężczyzny. Z trudem udało nam się wprosić do domu zmarłego. Stała tam wydrążona z pnia drzewa oryginalna trumna. Jej dolna część przypominała czółno, natomiast w górnej wyrzeźbione były dwie niby rączki, niby skrzydła. Całość misternie dopasowano, starannie sklejono żywicą i związano włóknem palmowym.

Śmierć jest dla Akha przejściem z krainy żywych do krainy przodków i z reguły nie jest dla umierającego czymś strasznym. Nieboszczyk zostaje umyty, ubrany w pośmiertną szatę, a do ust wkłada mu się kilka srebrnych monet, za które będzie mógł „kupić" wszystko co mu potrzebne. Następnie zawija się go w ceremonialną czerwoną tkaninę i układa w chacie, dopóki nie będzie gotowa trumna. Okoliczne wioski powiadamia się o śmierci.

Po przygotowaniu trumny i wysłaniu jej kłaczkami bawełny dla wygody nieboszczyka, wyposaża się go w najlepsze ubranie i układa w niej na wieczny spoczynek. Trumna zostaje starannie zamknięta. Do czasu pogrzebu członkowie klanu zmarłego czuwają na zmianę przy zwłokach, tak długo, aż wszyscy krewni i przyjaciele zmarłego zjadą się z innych wiosek, a więc nieraz kilka dni.

Ceremonia pogrzebowa trwa trzy noce i dwa dni; w tym czasie wioskowy kapłan udziela zmarłemu rad na drogę do krainy przodków i godzinami nuci nad nim żałobne pieśni.

W krainie Akha

Tekst i zdjęcia ANDRZEJ RYBAK

W przypadku śmierci naczelnika wioski pomyślność pozagrobową zmarłego zagwarantować ma zabity w ofierze bawół wodny. Jako ofiarę składa się również kury i przeróżne produkty żywnościowe. Nie może też nigdy zabraknąć ofiarnego ryżu. Zmarłego wypada również symbolicznie nakarmić i napoić.

Na koniec ceremonii trumnę przywiązaną do dwóch długich kijów wynoszą członkowie klanu poza wioskę i układają w wykopanym uprzednio grobie. Na trumnę rzuca się trochę słomy z dachu domu zmarłego i sadzonki ryżu. Akha często układają na grobach zmarłych ich rzeczy osobiste, jak fajki, kubki do herbaty czy też narzędzia pracy. Przy wezgłowiu wbija się kij, na którym zawiesza się niewielką torebkę wypełnioną żywnością. Po pogrzebie krewni zbierają się w wiosce na wielką ucztę pożegnalną.

Śmierć jest dla większości Akha połączeniem z przodkami i kontynuacją codziennego życia w innym świecie. Nikt, kto przestrzegał plemiennych nakazów, nie boi się śmierci naturalnej. Śmierć gwałtowna w wyniku wypadku, zabójstwa lub napaści zwierząt uchodzi za „złą śmierć" i zmarły dopiero po długotrwałych ceremoniach i kosztownych ofiarach może liczyć na trafienie do krainy przodków.

Plemię Akha wywodzi się z chińskiej prowincji Yunnan, gdzie współżyje blisko z ludem Han. Pewien odłam plemienia rozpoczął w XIX w. wędrówkę na południe do Laosu, Wietnamu, Birmy i Tajlandii. Pierwsze wioski Akha w Tajlandii powstały już w początkach XX w. Ich liczbę w tym kraju po drugiej wojnie światowej oceniano na 2500, obecnie mieszka ich tu 24 tys. osób. Ich wioski znajdują się przeważnie w prowincji Chiang Rai, a więc pośród innych plemion oraz osiedli Tajów.

Gospodarka Akha oparta jest w większości na żarowo-odłogowej uprawie ryżu. Miejsc na poletka jest z roku na rok coraz mniej. Duże obszary tropikalnego lasu padają od siekier i ognia, a gleba ulega postępującej erozji. Przerwy regeneracyjne w uprawie gleby trwają najwyżej 2–3 lata, gleba wyjaławia się coraz bardziej i daje małe plony.

Również kultura Akha wystawiona na wpływy tajskie ma niewielkie szanse przetrwania. Coraz częściej rodziny sprzedają starą srebrną biżuterię, by zakupić motorower. Dzisiaj kunsztowne czepki kobiet Akha zdobią często aluminiowe guziki i kulki. Tylko niektóre wioski nadal starają się żyć zgodnie z tradycją.

Akha wierzą, że są ogniwem łańcucha łączącego przodków i potomków, starają się przestrzegać plemiennych zwyczajów i dopełniać rytuałów. W każdym domu znajduje się niewielki ołtarzyk, na którym składa się ofiary przodkom. Jest to symboliczne karmienie umarłych. W skład darów ofiarnych wchodzi z reguły pięć różnych potraw i napojów. Naczelnik klanu stawia miseczki z jedzeniem na ołtarzu i zaprasza przodków do jedzenia. Cała rodzina w ciszy odwraca głowy od ołtarza i zostawia przodkom czas na najedzenie się. Potem przystępuje sama do spożycia ofiarnych potraw. Koniec ceremonii obwieszcza bicie w gong.

Ofiary składa się przodkom podczas świąt plemiennych, jak święto noworoczne, święto siewu, święto zbiorów czy święto huśtawek. Akha stroją się wtedy w tradycyjne stroje z czarnej bawełny. Kobiety noszą czarne spódniczki do kolan, piersi obwijają pasem czarnego materiału, na który zakładają zdobioną z przodu i na rękawach krótką kurtkę. W pasie ściśnięte są szarfą, której końce, bogato zdobione perełkami, monetami i guzikami, zwisają luźno z przodu.

Najbardziej charakterystyczną częścią garderoby są wspaniałe czepki o różnych kształtach, zdobione blachą, monetami, kółkami, guzikami, kulkami, piórami, koralikami – wszystkim co przyjdzie ich twórcom do głowy. Na czepkach kobiet udało mi się odróżnić liczne stare monety – srebrne indyjskie rupie, monety birmańskie, tajskie i z dawnych francuskich Indochin. Na podstawie takich czepków odróżnić można kobietę zamężną od panny na wydaniu czy od młodej dziewczyny. Strój kobiet uzupełniają srebrne bransoletki, liczne naszyjniki, przerzucona

Wieczorem kobiety powracają z pól z wielkimi koszami wyładowanymi płodami rolnymi

1

2

przez ramię torebka i noszone na łydkach kolorowe getry.

Strój mężczyzn jest podobny (zamiast spódnicy noszą oni szerokie, krótkie spodnie), lecz mniej zdobiony. Jego wyróżniającą się częścią jest zwinięty płaski turban noszony jak kapelusz.

Święta Akha przygotowuje cała wioskowa społeczność pod kierownictwem kapłanów, którzy są ogniwem łączącym w przeróżnych ceremoniach żyjących z ich zmarłymi przodkami. Obok wiary w przodków Akha wierzą w duchy, które przeważnie zamieszkują lasy. Specjalnie zbudowane bramy wioskowe mają rozgraniczać sferę zamieszkiwaną przez duchy i przez ludzi. Duchy nie mają prawa wstępu do wiosek. Słońce, Księżyc, Pan Wód i nieokreślone siły odpowiedzialne za dobro ludzi, inwentarza i plony ryżu, uzupełniają panteon Akha.

Podstawą wyżywienia plemienia jest ryż, nic więc dziwnego, że Akha uważają ryż za istotę obdarzoną duszą i znają wiele legend z nim związanych. „Pewnego razu biedna wdowa ze swoją 13-letnią córką szukały pożywienia w pobliżu potoku. Nagle córka znikła. Wdowa długo szukała jej i płakała, lecz po córce nie było śladu. Dopiero po kilku dniach przechodząc niedaleko rzeki usłyszała dobiegające z wody wołania dziewczyny. Okazało się, że córka poślubiła zamieszkałego w potoku »króla smoków«. Matka odwiedziła córkę i zięcia, od którego na pożegnanie dostała ziarenka ryżu. Od tego czasu nigdy już nie cierpiała głodu".

Ponieważ według Akha ryż posiada duszę, trzeba bardzo uważać aby jej nie przestraszyć i nie skłonić do opuszczenia rośliny. Nie należy na przykład zakładać poletka w pobliżu cmentarza, gdyż jest to złe miejsce dla ryżowej duszy.

Podczas przygotowania pól Akha zwracają uwagę na wiele znaków, które przepowiadają przyszłe plony. Złe znaki powodują często zmianę lokalizacji poletka. Przed rozpoczęciem zasiewów składa się ofiary „władcy wód". W środku poletka natomiast buduje się niewielki domek dla ryżowej duszy. Przez cały okres dojrzewania rośliny Akha starają się w różnych ceremoniach zapewnić jej pomyślny rozwój.

1. Kobiety Akha w czapkach bogato zdobionych srebrnymi i aluminiowymi guzikami

2. Chaty Akha są większe niż domostwa innych plemion żyjących w tej części Tajlandii

3. Głównym pożywieniem ludności plemienia jest ryż uprawiany techniką żarowo-odłogową

4. Wioskowej dzieciarni najwięcej radości dostarcza brodzenie w kałużach

Indiańskim szlakiem

NIKT nie wie, jak i kiedy przetarto szlak Czilkat, łączący południowo-wschodnie pobrzeże Alaski (Alaska Panhandle) z wnętrzem kanadyjskiego terytorium Jukon. Po prostu jak dawno sięgała pamięć ludzka, Czilkatowie, najbardziej północni z wielkiej rodziny indiańskich plemion Tlingit, zwykli byli wychodząc ze wsi Klukwan doliną rzeki Czilkat przechodzić Góry Nadbrzeżne, a dalej doliną Takhini przez jezioro Kusawa docierać do Jukonu. Czilkatowie nosili na północ początkowo ryby suszone, tłuszcz foczy i muszle morskie, później zaś broń, metalowe narzędzia i inne towary uzyskiwane z amerykańskich statków handlowych. Towary te dostarczali pobratymcom z plemienia Tutczonów. Wracali na pobrzeże obładowani cennymi futrami.

Tak było do 1890 r., kiedy szlakiem Czilkatów przeszła ekspedycja amerykańskiej „Gazety Ilustrowanej" Franka Lesliego. Uczestnik ekspedycji Jack Dalton złamał tradycyjny monopol Czilkatów na handel z ludami wnętrza terytorium Jukon.

W roku 1898 gorączka złota w Klondike ożywiła biegnący 32 km na wschód szlak Czilkoot, wiodący ze Skagway przez Biały Kanion, Jezioro Bennetta i rzekę Jukon do dzisiejszej stolicy terytorium – Whitehorse. Ten szlak znamy doskonale z opisów, zwłaszcza Jacka Londona. Tędy właśnie waliły na północ dziesiątki tysięcy poszukiwaczy złota. Tędy wędrowali o głodzie i chłodzie: Charley Sitka, Malemute Kid, Bellew Zawierucha i wielu innych. Również sam Jack London. Tym szlakiem wiedzie dziś dobra droga i linia kolejowa.

Kilkadziesiąt kilometrów na zachód od szlaku Czilkatów biegnie szlak Daltona – z Haines na północ do skrzyżowania z autostradą alaskańską i dalej do Fairbanks. Oba krańcowe szlaki przebywają dziś bez fatygi tysiące ludzi w roku. Dawny szlak Czilkatów porzucono całkowicie.

Zmiany te zapoczątkowała właśnie wyprawa gazety Lesliego. Należeli do niej trzej dziennikarze – E.H. Wells, A.B. Shanz, E.J. Glave, dwaj technicy – Frank Price i Jack Dalton oraz 30 przewodników i tragarzy Czilkatów.

W roku 1984 ten zapomniany szlak postanowili przejść małżonkowie Cathy McAninch Moise i Ben Moise. Przestudiowali przebieg wyprawy Lesliego i prócz map najnowszych starą mapę wodza plemienia Czilkatów – Kohkluxa, sporządzoną przez niego w 1869 r.

Małżonkowie Moise zrelacjonowali przebieg swej amatorskiej wyprawy w lutowo–marcowym numerze kanadyjskiego „Magazynu Geograficznego" z 1986 r. Szlak liczący 160 km długości zamierzali przebyć w trzy, cztery tygodnie...

Na szlaku

23 maja Dave Olerud z Haines zawiózł ich poza wieś Klukwan i pozostawił przy sątoku rzek Czilkat i Kelsall. Zarzucili na plecy mocno wyładowane plecaki i ostrożnie przekroczyli sfatygowany most.

Trzy dni posuwali się powoli w górę rzeki do kanionu przełomowego. Przedzieranie się przez bezdrożny świerkowy las z bujnym, twardym poszyciem było bardzo uciążliwe. Ulżyli sobie nakładając rakiety śnieżne i podchodząc suchymi łożyskami potoków wód powodziowych. 25 maja wieczorem wyszli ponad las i rozpięli namiot na krawędzi nagiego urwiska. Stąd mieli wspaniały widok na przebytą już dolinę.

Wódz Kohklux oznaczył był na swej mapie ów wąwóz jako Yough-ya-koon. Dziennikarze Lesliego nazwali go Wrotami Czilkatu. Dostali się doń znacznie wygodniej, bo 12 maja 1890 r. dopłynęli do wąwozu w ośmiu kanadyjkach.

Z obozu Moise'ów, gdzie zrobili sobie dzień odpoczynku, widać było w dole zwierzęta przekraczające rzekę. Najpierw samicę łosia prowadzącą dwa identyczne cielaki. Po nich przebył rzekę wielki szary grizzli. Śladów niedźwiedzi było tu co niemiara i to nigdzie indziej niespotykanych. Tu bowiem każdy niedźwiedź stąpał dokładnie po śladach swych poprzedników, toteż były one wyjątkowo wielkie i głębokie.

Następnego dnia dzielna para sforsowała ów wąwóz obejściem i wspinaczką po 90-metrowej ścianie. W sprawozdaniu Shanza ściana ta urosła do 460 m, a całe przejście do rangi niezwykłej...

W północnej części doliny rzeki Czilkat poznali pojęcie zagubienia. Niewielkie pierścienie lodu otaczały nagie wierzchołki gór wystrzelające 2135 m ponad poziom wody w rzece. Granicę Stanów Zjednoczonych i Kanady wyznaczoną idealnie prostą przesieką uznali w tej pustaci za szczególnie aroganckie natręctwo...

Na lodowcu

29 maja wychodząc z zakrętu rzeki zobaczyli drugi punkt wyróżniony na mapce Kohkluxa: Tchu-kit'-lee. Coś się jednak nie zgadzało... Lodowiec Czilkat powinien był leżeć pod nimi, wznosił się zaś przed nimi w odległości 2 km w górę doliny, skurczony i brudny, iście blady cień owego lodowca, który blokował drogę ekspedycji gazety Lesliego. Tej nocy obozowali wśród moren.

Lodowiec okazał się jednak surowym strażnikiem przejścia. Zwisający z krawędzi groźny kawał lodu wyraźnie – jak piszą – przyprawił ich nogom skrzydła, kiedy mozolnie przedzierali się świeżo spadłym rumoszem. Raz tylko znieruchomieli na chwilę by spojrzeć w górę, jak w wylot lufy armatniej. Dwudniowa wspinaczka wyniosła ich na wysokość 1220 m nad rzekę. Znaleźli się w monobarwnym świecie nad górną granicą lasu. Stawiając namiot na rzut kamieniem od wielkiego lodowca wspominali przygody dawnych Indian.

132 lata wcześniej raniony kulą w szczękę sławny wódz Czilkatów Kohklux tędy właśnie, przez ten lodowiec, prowadził dwudziestkę swych wojowników do Fortu Selkirk, by splądrować i zniszczyć tamtejszą faktorię Hudson Bay Company. Czilkatowie, rzecz jasna, nie zdołali zatrzymać zalewającej północ fali handlu białych ludzi. Dzięki tej akcji mogli jednak jeszcze 40 lat utrzymać pierwszeństwo w handlu na szlaku.

Marsz przez lodowiec nadszarpnął siły podróżników. Resztki zimowej pokrywy śnieżnej mogły kryć niebezpieczne szczeliny. Pocieszała ich świadomość, że Czilkatowie dobrowolnie przekraczali ów lodowiec w różnych porach roku, bez nowoczesnego sprzętu...

Mgła i zadymka śnieżna zmusiła ich do pozostania cały dzień w namiocie. 2 czerwca zbudziły ich promienie słońca. Wkrótce ustąpiła mgła. Po raz pierwszy zobaczyli otaczające lodowiec wierzchołki gór. Włożyli rakiety śnieżne, związali się liną i wyszli na „świat bieli śniegu, czerni szczytów i błękitu nieba".

Nie na długo. Kilka godzin tylko cieszyli się piękną pogodą. Szli swobodnie, z łatwością omijali szczeliny i miejsca niepewne, wymijali zasadzki. Po nowym napływie chmur i śnieżycy widoczność spadła do zera. Ledwo dostrzegali skalną ścianę z lewej strony. Ich poręcz... „Mijały godziny kiedy nasze rakiety wznosiły się i opadały, wznosiły i opadały, wznosiły i opadały..." Wreszcie zorientowali się, że jęzorem lodowcowym zaczęli schodzić

w dół, w dolinę rzeki Takhini. Wykorzystali chwilowe przejaśnienie, by zejść z lodowca. Stąpali po trwałym gruncie dorzecza Jukonu... Siedmiogodzinny marsz po śniegu i lodzie sprawił, że łydki mieli „jak z gumy". Ale wiedzieli, że najgorsze było już za nimi.

W lesie

5 czerwca nasi wędrowcy zwierzęcą ścieżką raźnie kroczyli na północ wśród rosłych drzew parkowego lasu sosnowego. Rzeka Takhini po przeskoczeniu serii wodospadów meandrowała od jednego do drugiego brzegu doliny. Pełno było śladów zwierzyny...

Następnego dnia zobaczyli wielkiego, szarego wilka przyglądającego się im z drugiego brzegu rzeki. Kilkaset metrów dalej młody, rudobrunatny niedźwiedź dojadał właśnie resztki zabitej ofiary. Na drugim brzegu pasła się łosza. Nagły powiew wiatru musiał donieść tam ludzki zapach, bo nagle niedźwiedź uciekł, łosza zaś znikła wśród drzew. Ale tylko na chwilę. Łosza ukazała się znowu, przebiegła wąską łachę i zaczęła skubać trawę. Ze stoków górskich rozległo się długie zawodzenie wilka. Łosza znieruchomiała, ale gdy wycie przedłużało się, spokojnie zabrała się do jedzenia.

Ekspedycja gazety również spotkała mnóstwo zwierzyny na tym odcinku rzeki. Towarzyszący jej Czilkatowie zabili niedźwiedzia i kilka dzikich owiec. Gdzieś w pobliżu złożono brezentowy składak, którym Wells i Shanz z indiańskim przewodnikiem spłynęli do jeziora Takhini. Dalton i pozostali szli dalej pieszo. Moise'owie także.

Jezioro Takhini – lśniący klejnot w oprawie urodnych gór – zapraszał do odpoczynku, ale wędrowcy postanowili oprzeć się pokusie. Na niewielkim płaskowyżu odkryli dziwną stożkową konstrukcję z bali opartych o samotne drzewo. Później wyjaśniono im, że to tymczasowe schronisko lub spichrz Czilkatów czy Tuczonów, zbudowany w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Po kilku godzinach wyszli na osłoniętą zatokę z plażą wysypaną białym piaskiem, miejsce jakby stworzone do budowy tratwy. Łagodne zbocze nad plażą porastał świerkowy lasek. Potężne pnie zrąbane siekierą świadczyły, że wyrąbano tu kiedyś wiele drzew na tratwy. Oczywiście Jack Dalton spędził tu pięć dni przy budowie tratwy, którą spłynęło potem sześciu ludzi z masą zasobów.

Ciesiółka

Moise'owie budowali tratwę cztery dni. Większość głównych, podłużnych pni po prostu zebrali z ziemi. Były suche, ale zdrowe. Trzeba było je odpowiednio przyciąć, obrobić i za pomocą sprzętu wysokogórskiego spuścić na plażę. Pracowali ciężko, nabawili się odcisków, zużyli sporo żywności...

Właśnie. Noce w puszczy zawsze są hałaśliwe, ale trzecia noc na plaży była wyjątkowo głośna. Rankiem okazało się, że sprzęt górski był poszarpany, a połowa żywności znikła: suszona łosina, jaja w proszku, ser... To niedźwiedź. Aż do Whitehorse musiały starczyć zupy w proszku i płatki owsiane. Ale niedźwiedź na pewno wróci. Trzeba było odpłynąć jak najprędzej. Tego dnia pracowali gorączkowo, wieczorem resztę żywności zawiesili wysoko na drzewie. Owszem, miś wrócił, mocno rozczarowany narobił wiele hałasu, ale wycofał się.

Tratwa była z grubsza gotowa. Miała ruchomy miecz z dykty wmontowany pomiędzy dwa środkowe pnie. Sześciometrowy, nieprzepuszczalny żagiel nylonowy można było fałami prędko stawiać i opuszczać na czterometrowym maszcie. Dwa brasy łączyły krańce bomu z rufą tratwy. Ściągnięcie ciężkiej tratwy na wodę i zabezpieczenie bagażu wymagało od dwojga wędrowców nie lada wysiłku. Dopingowała ich obawa przed powrotami niedźwiedzia i widmo głodu. Odbili...

Żegluga

Przez pierwszą godzinę wiatr miotał tratwą jak chciał. Wreszcie wpadli na pomysł, że tratwie nie wystarczy miecz czy kil, że trzeba jej steru. Jakoś go dorobili. I rzeczywiście... tratwa zaczęła słuchać sternika.

Jezioro Kusawa zostało stworzone do żeglugi – zapisali nasi autorzy. 72 km długości, z grubsza w kierunku południowo-wschodnim, przy szerokości nie przekraczającej 3 km i przeważających tam wiatrach południowych – to sytuacja wyjątkowo przychylna.

Następnego dnia pełnym wiatrem płynęli w kierunku północno-zachodnim. Mijając wysepkę Gull Egg (mewie jajo) doskonale widzieli oddalającą się ku zachodowi dolinę rzeki Shakwak. Tu w 1980 r. Glave i Dalton opuścili swą tratwę, by spenetrować tę dolinę i inne przejścia, a Wells, Shanz i Price z indiańskim przewodnikiem żeglowali dalej po jeziorze Kusawa. Oczywiście tratwa ekspedycji nie była pierwsza na tych wodach. Czilkatowie żeglowali tym szlakiem już dziesiątki lat...

Trudności nękały żeglarzy następnego dnia. Po zakręcie jeziora na północny wschód i mocnym wietrze południowo-zachodnim, tratwa dryfowała na lewy, kamienisty brzeg. Kiedy zbyt mocno sterowali ku prawemu brzegowi, tracili wiatr, który ciężko było chwytać mało zwrotną tratwą. Para żeglarzy musiała mocno pracować tego dnia, walczyć z wiatrem i zalewającymi ich metrowymi falami. Trzeba było kilkakrotnie zrzucać i znów stawiać żagiel, manewrować potężnymi pniami, odpychać się od dna drągami... Resztką sił dobili do brzegu i w popłochu porzucili tratwę. Do północnego krańca jeziora pozostało 21 km. Dobry dzień żeglugi przy słabej już porcji żywności.

Wiatr ustał późną nocą. Żeglarze natychmiast powrócili na tratwę. W kompletnej ciszy długo musieli wprowadzać tratwę na wodę. Dużo później chwycili pierwszy powiew wiatru i postawili żagiel na mocno już przechylonym maszcie. Trochę pod żaglem, trochę na pych dobrnęli do ostatniego zakrętu jeziora. Do końca szlaku i przygody pozostało im 16 km. Te przebyli bez trudności.

Powrót

Kilka kilometrów przed północnym krańcem jeziora znajduje się elegancki kemping. Prowadzi doń boczna droga od autostrady alaskańskiej, którą po kilkunastu kilometrach dojeżdża się do Whitehorse. W słoneczny, czerwcowy piątek o szóstej przed wieczorem na kempingu był „cały Whitehorse". Kiedy Moise'owie chyłkiem opuszczali swą tratwę, w małej niewidocznej z kempingu zatoczce na jeziorze roiło się od ryczących motorówek z plastyku i aluminium, zbrojnych w najnowsze mocarne i mocno ryczące silniki. Pełno było sprzętu żeglarskiego, rybackiego, sportowego; mnóstwo rozbawionych osób.

Przejście przez kemping pary zmęczonych ludzi, obładowanych wypchanymi plecakami, sprzętem obozowym i rakietami śnieżnymi w letni dzień wzbudziło

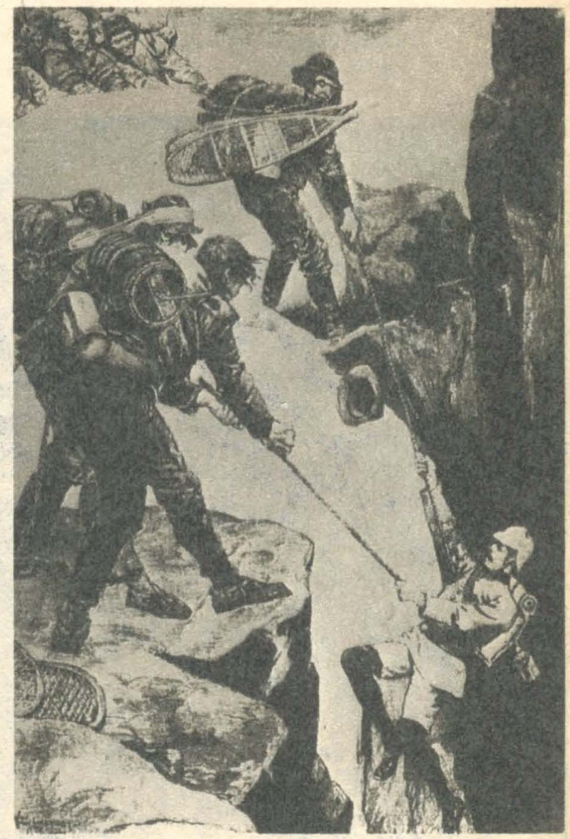

Tak wyobrażał sobie w 1890 r. przejście lodowca Czilkat ilustrator nowojorskiego tygodnika

Tak przekraczali Czilkat Cathy i Ben Moise'owie 94 lata później

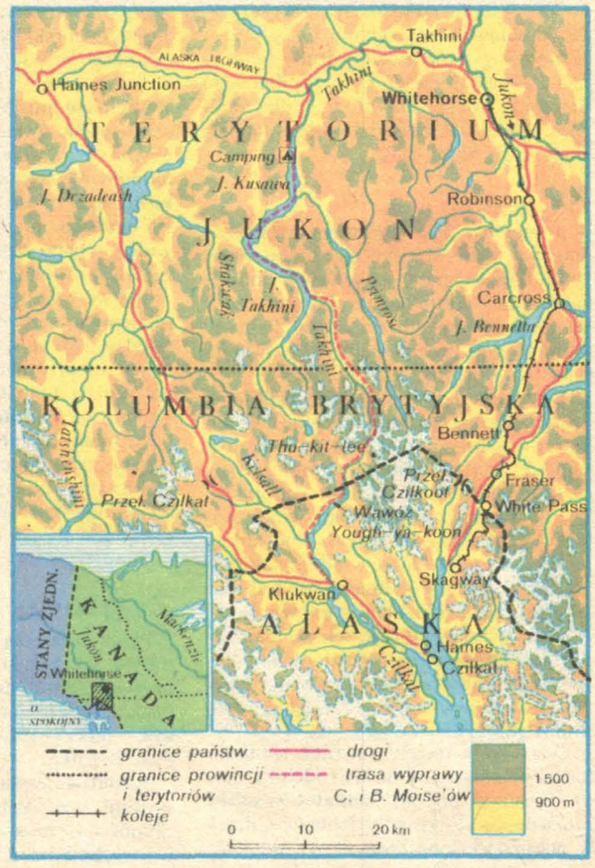

Tratwa Moise'ów. Zbudowali ją bez niczyjej pomocy ciężko pracując cztery dni

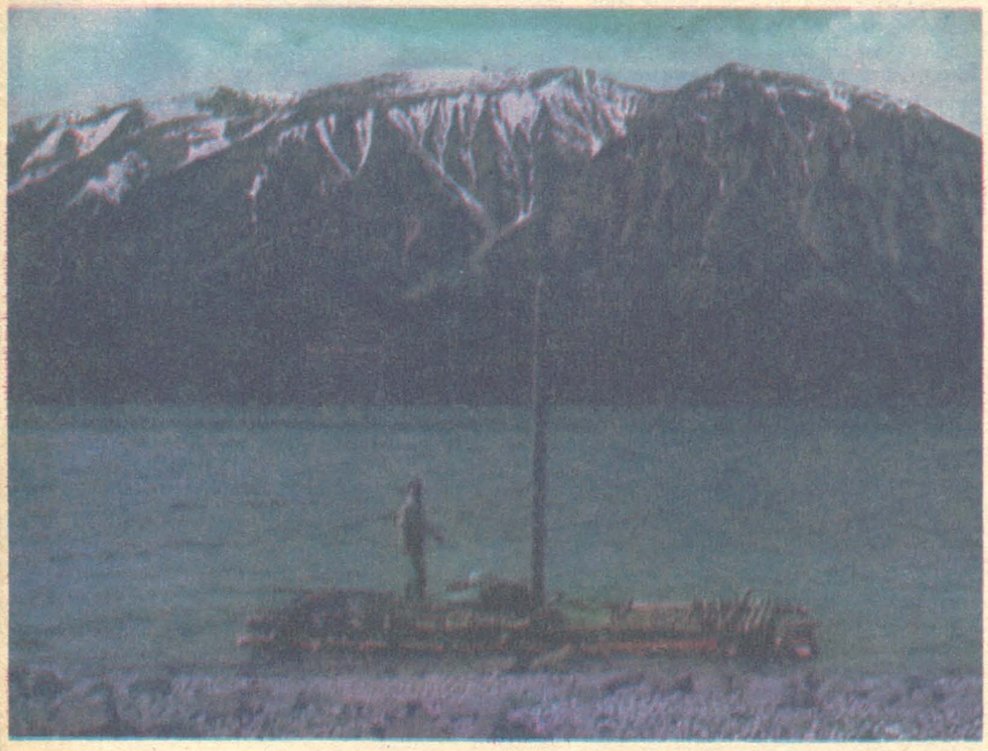

wyrozumiałe uśmieszki zebranego towarzystwa...

☆

Dwieście lat temu w tym samym miejscu z podobnej tratwy zeszła gromadka Czilkatów obładowanych produktami cywilizacji pobrzeża. Spora grupa Tutczonów witała ich tańcem, pieśnią, biciem w bębny. Wodzowie obu grup wygłosili przemówienia. Wypalono pewnie fajkę pokoju. Później zaczęły się negocjacje handlowe...

W roku 1890 tratwa „City of Chicago" nie zatrzymała się w tym miejscu. Spłynęła z jeziora w rzekę Takhiti, aż po 80 km zatrzymała się przy ujściu do większej rzeki, płynącej z południa. Dziennikarze z tratwy utrzymywali, że to był Jukon. Historia o tym milczy...

Wells, Shanz, Price byli miernotami, o których rychło zapomniano. Glave przewędrował Jukon powtórnie zostawiając prace o przemianie rodzimych kultur, cenione przez dzisiejszych historyków cywilizacji. Jack Dalton zdobytą od Czilkatów wiedzę wykorzystywał praktycznie w organizacji handlu. Zdobył sobie bogactwo, uznanie i sławę.

Tamtejsi Indianie mieli sposobność przeżyć falę poszukiwaczy złota, która przewaliła się przez cały kraj zmieniając jego charakter na zawsze...

Opr. *Roman Biesiada*

TERKOT MODLITEWNEGO MŁYNKA

Tekst i zdjęcia
WITOLD SIECZKO

Lamaicka świątynia jest najokazalszą budowlą na terenie tybetańskiego obozu

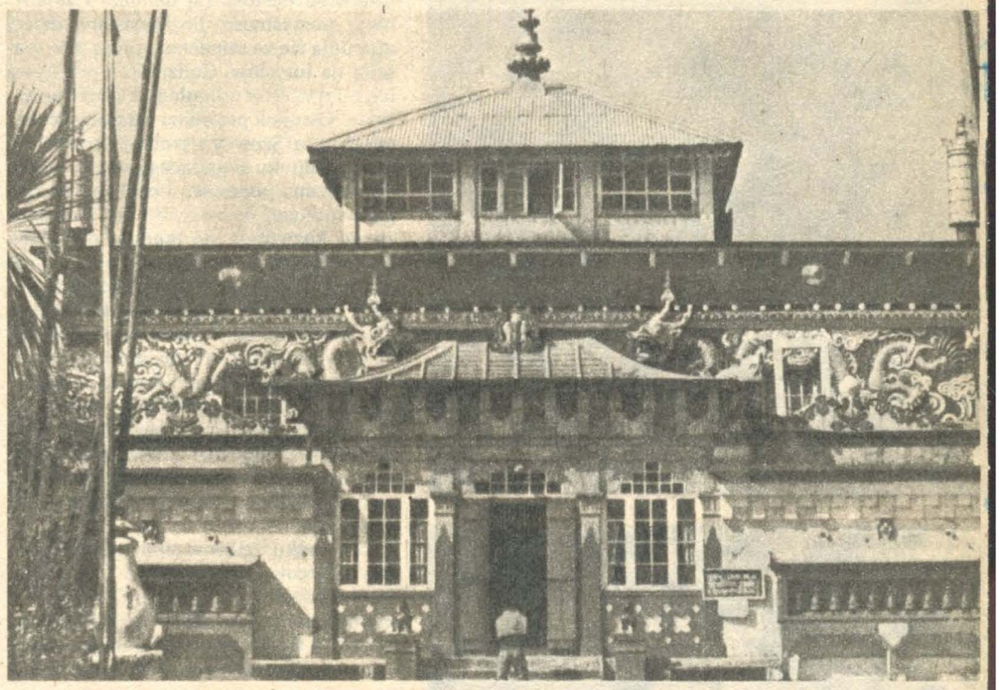

SIEDZIMY już długo przy stoliku. Sączę kolejną szklaneczkę *ciangu* – tybetańskiego piwa. Jem zupę przypominającą nasz żur i pierożki nadziewane mięsem z bardzo pikantnym sosem. Stara Tybetanka o pomarszczonej wysuszonej słońcem twarzy nie mówi po angielsku. Zapytana o nazwy potraw odpowiada „yes", szczerzy spróchniałe zęby i... przynosi kolejną porcję pierożków.

Daję spokój z pytaniami. Spoglądam z ciekawością na mojego towarzysza. Ubrany jest po europejsku, tylko włosy ma splecione tybetańskim zwyczajem, w warkocz upięty na czubku głowy i podtrzymywany czerwoną wstążeczką. Również i on sączy *ciang*.

Namieaste! Pij gościu i niech cię dobre duchy Tybetu mają w opiece. Odblask żarzącego się ognia pod czajnikiem z *ciangiem* pada na ołtarzyk. Lśnią złocone posążki Buddy i demonów – opiekunów Tybetu, błyszczą pocztówki z widokami klasztorów Lhasy. Dzbanek jest prawie pusty.

Sąsiad z zadumą patrzy przez okno w kierunku ośnieżonych gór. Gdzieś tam za ich szczytami leży jego dawna ojczyzna – Tybet. Tutaj, w Dardżilingu mieszka od 1968 r. Przybył tu pieszo jako uciekinier.

Po włączeniu Tybetu do Chin w 1951 r. przez kilka lat panował spokój na wielkiej wyżynie. Stopniowo jednak narastały napięcia i konflikty na tle społecznym i religijnym, które w 1959 r. doprowadziły do wybuchu powstania przeciw Chinom. Jego stłumienie spowodowało falę uchodźców z dalajlamą, duchownym przywódcą buddystów, na czele. Kolejne niepokoje wybuchły w 1968 r. jako reakcja na nieprawidłowości popełnione w ramach „rewolucji kulturalnej". I znów ruszyła na południe stutysięczna fala uchodźców tybetańskich.

☆

Ołtarz zastawiony jest dwoma rzędami miseczek ofiarnych codziennie napełnianych świeżą wodą

Jedna z mieszkanek ośrodka. Tutejsze kobiety, młode i stare, noszą wiele ozdób na szyi i rękach

Obóz uchodźców tybetańskich – Tibetan Refugee Self-Help Centre – jest jednocześnie ośrodkiem pomocy rządu Indii dla uchodźców. Są tu domy mieszkalne z kamienia i gliny, przyciągające wzrok bogato zdobionymi ramami okiennymi, odrzwiami i narożnikami. Między domami na rozpiętych sznurach i bambusowych tykach powiewają chorągiewki modlitewne; odstraszają demony i zapewniają pomyślność. Rozkrzyczane dzieci uganiają się za szmacianą piłką. Nie reagują na turystów. Codziennie przybywa ich tutaj wielu z odległego o 5 km Dardżilingu. Ośrodek prowadzi działalność rzemieślniczą. Szewcy wyrabiają tradycyjne buty z wojłoku sięgające powyżej kostki, ze skórzaną podeszwą i noskami bardzo podwiniętymi do góry, by nie skaleczyć ziemi. Rozwinęło się tkactwo dywanów o tradycyjnych wzorach tybetańskich, rzeźbiarstwo stołków, ram okiennych, naczyń domowych. Wykonuje się tu również pamiątki dla turystów: noże, miecze, sztylety, statuetki z brązu, drobiazgi jubilerskie, chorągwie modlitewne – *thanki*. Tybetańczycy są cierpliwi, sumienni, pracują uczciwie. Praca jest dla nich częścią praktyk religijnych, bowiem lamaizm kładzie wielki nacisk na rzetelność. Dywany tybetańskie należą do najlepszych na świecie.

W ośrodku działa szpital, przedszkole, dom starców, dom dziecka i kuchnia. Opał i jedzenie są wspólne. Ośrodek jest samowystarczalny pod względem finansowym, a środki na utrzymanie pochodzą ze sprzedaży wyrobów rzemieślniczych.

☆

Za zamyślonym mnichem, obracającym w dłoni modlitewny młynek, podążam do lamaickiej świątyni – gompy. Już z daleka słychać głosy modlitewnych bębnów, konch, trąb. W cieniu domostw siedzą w kucki, przesuwając paciorki różańca, dwie kobiety. Młodsza pozdrawia mnie według miejscowego zwyczaju... wywieszając język. Na szyi ma kilka naszyjników ze starych monet, na rękach po kilka metalowych bransolet pobrzękujących przy każdym ruchu. Starsza, o pomarszczonej twarzy ma przepiękny naszyjnik z korali i turkusów. Klejnoty wraz z ozdobnymi skrytkami na amulety służą jako ochrona przed złymi mocami. Obie mają warkocze przedłużone pakułami i włosiem; zwinięte wokół głowy są przeplecione czerwoną wstążeczką – symbolem pomyślności. Długie sięgające do ziemi suknie przykryte są fartuszkami w poprzeczne prążki. Spod sukni wystają śmiesznie zadarte do góry czubki czerwono-zielonych sukiennych butów. Młodsza z kobiet ma zarzuconą na ramię chustę, w której kwili niemowlę.

Trzykrotny głos trąb oznajmia koniec modłów. Lamowie rozchodzą się...

A z klasztoru ciągle dobiega dudnienie. To lamowie odpędzają złe duchy. Klasztor-świątynia, najokazalszy budynek w ośrodku, otoczony jest palami z chorągwiami modlitewnymi. Dach ma dwupoziomowy, spadzisty o pagodowym kształcie. Do drzwi przymocowany jest ogon jaka. Zgodnie z obyczajem buddyjskim wchodzę do świątyni boso.

Całe ściany pokryte są malowidłami o tematyce religijnej. Od drzwi do ołtarza biegną dwie drewniane ławy przykryte dywanami i wyłożone poduszkami. Przed ołtarzem wysoki tron pokrywają czerwone poduszki, na których spoczywa kolorowa fotografia dalaj-lamy. Na lewo i prawo ustawiono posągi demonów i rozmaitej wielkości pozłacane posągi Buddy. Ołtarz zastawiony jest dwoma rzędami miseczek ofiarnych, które napełniane są codziennie świeżą wodą, misami z darami ofiarnymi, ryżem usypanym w kopczyki, ręcznie wykonanymi rzeźbami z masła jaków, tlącymi się cały czas tłuszczowymi lampkami oraz pieniędzmi – od jednorupiowych monet po... dziesięciozłotowy banknot.

Na prawo od ołtarzy mieści się biblioteka. Od podłogi aż po sufit leżą stosy książek. Są to ręcznie przepisywane, na ogół stare księgi tybetańskie w drewnianych, również ręcznie malowanych okładkach. Na ścianach wiszą barwne chorągwie modlitewne. W pomieszczeniu panuje półmrok rozświetlany ledwie kopcącymi lampkami, unosi się aromat kadzideł i trociczek.

Na ławach siedzą lamowie ubrani w ciemnowiśniowe szaty. Głowy mają ogolone. Przed każdym stoją dwie drewniane miseczki – jedna na herbatę, druga na jedzenie. Akurat jest przerwa na posiłek. Słychać głośne siorbanie i mlaskanie. Stary lama, chyba przełożony, uśmiecha się życzliwie i zaprasza mnie abym usiadł i posilił się. Mały kilkuletni „lama" stawia przede mną czarkę z gorącą, czarną herbatą, bardzo słoną i z domieszką masła. Posiłek skromny: ryż i *campa* – prażona mąka jęczmienna, którą lamowie ugniatają z masłem w kuleczki i wkładają do ust.

Uderzenie w bęben kończy posiłek. Rozpoczyna się *pudża*, jedno z pięciu nabożeństw, w których codziennie mnisi oddają cześć Buddom, *bodhisatwom* (świętym), bóstwom i demonom. Uczestnikiem *pudży* może być każdy, kto ma ochotę na chwilę medytacji połączonej ze śpiewami i modlitwami. Cykl modlitw jest niespieszny, kwadrans płynie po kwadransie, czas nie odgrywa tu żadnej roli. Kiedy cichną modlitwy, rozlegają się głosy trąb, piski konch. Od czasu do czasu słychać głuche dudnienie w bęben. Nabożeństwo dobiega końca. Trzykrotny

głos trąb kończy modły. Lamowie rozchodą się do codziennych zajęć.

Jeden z mnichów radzi mi, abym udał się na trzydniowe uroczystości religijne do pobliskiego Kalimpongu. Z trudem udaje mi się wcisnąć do przepełnionego autobusu, który po blisko czterech godzinach jazdy krętą, górzystą drogą dociera do miasta położonego w pobliżu granicy z Chinami. Wzdłuż całej drogi mijałem liczne garnizony i kolumny ciężarówek wojskowych. To stały element tutejszego krajobrazu.

I oto monaster Tharpa Choling w Kalimpongu. Przed gompą na dziedzińcu rozwieszony duży tropik od namiotu cyrkowego, a pod nim wydzielone miejsce na trawniku. Dookoła niego siedzą na trawie lub na krzesełkach całe rodziny tybetańskie z własnym prowiantem. Tylko pobożni starcy stoją na uboczu obracając w dłoniach modlitewne młynki. Na świątecznych straganach niewiele jest do kupienia – tylko artykuły liturgiczne: młynki modlitewne, różańce, szkatułki na portrecik dalaj-lamy lub święte teksty, dzwonki, piszczałki. Garkuchnie serwują typowe tybetańskie dania i *ciang*.

Przedstawienie rozpoczyna się. W ciszę zakłóconą tylko łopotaniem modlitewnych chorągwi wdziera się głos bębnów, brzęk czyneli, głębokie tony trąbki. Rozpoczyna się dramat-misterium łączący elementy rozrywki z pouczeniem religijnym. Występują w nim wyszkoleni tancerze odgrywający rolę bóstw. Większość nosi wywołujące grozę maski. Każdemu poruszeniu i gestykulacji w tańcu odpowiada określone znaczenie symboliczne. Zza rogu domu wybiegają z krzykiem i hałasem tancerze w maskach diabłów, bowiem główną częścią dzisiejszej uroczystości jest taniec odpędzający złe duchy.

Tybetańczycy uważają, że demony zatruwają codzienne życie; dają znać o sobie przez złe znaki i klęski częściej niż dobro. Są władcami nocy, a w ciemnościach bywają silniejsze niż bogowie. Tybetańczycy bardzo obawiają się ich magicznej siły.

Z zainteresowaniem oglądam taniec, w którym złe duchy pozbawia się ich mocy. Oto jeden z tancerzy wymachuje szablą, odmawia cichym głosem odpowiednie modlitwy, potem śpiewa niezrozumiałą dla mnie pieśń, wreszcie krzycząc strasznym głosem przepędza złe moce. Ale walka nie kończy się, nadciągają nowe zastępy demonów. Powtarza się to kilkakrotnie, aż dobro zwycięży zło. Chwila przerwy. Zmęczeni, ciężko dyszący tancerze gaszą pragnienie *ciangiem*. Zmiana strojów i nowe popisy.

Potem oglądam stary dramat tybetański, którego bohaterami są postacie z pełnego intryg życia pałacowego sprzed 700 lat.

A chorągwie wokół gompy nieustannie trzepoczą swoją melodię – „Om mani padme hum" – „Klejnot (jest) w lotosie, amen" – ulatującą do dalekiego Tybetu.

SABRATA

Tekst i zdjęcia JERZY SAMUSIK

JEDNYM z trzech miast – obok Leptis Magna i Oei – które dały Trypolitanii jej nazwę, była Sabrata. W odległości 200 km na zachód od Leptis Magna i 65 km od Oei wznosiła swe antyczne mury na płaskim, piaszczystym brzegu, niemal wyrastając z wód Morza Śródziemnego. Założyli ją w zamierzchłych czasach – podobnie jak dwa pozostałe miasta – fenicy kupcy, a Kartagina, gdy w VI w. p.n.e. stała się mocarstwem, objęła nad nią protektorat. Kiedy w 146 r. p.n.e. Kartaginę podbili Rzymianie, Sabrata znalazła się w strefie wpływów rzymskich, zachowując jednak na długo instytucje, religię i język założycieli. Dopiero na początku naszej ery została ona oficjalnie przyłączona do rzymskiej prowincji Africa Vestus, przemianowanej później na Trypolitanię, i odtąd rozwijała się już jako miasto rzymskie. Swój rozkwit zawdzięcza , jak zresztą wszystkie starożytne miasta północnoafrykańskiego wybrzeża, nadmorskiemu położeniu i handlowym kontaktom z wnętrzem Afryki. Docierały do niej karawany z Fezzanu i Ghadamesu przewożące złoto, kość słoniową i szlachetne kamienie, pochodzące z równikowej Afryki. W dodatku sąsiedztwo urodzajnych ziem regionu Dżefara spowodowało, że Sabrata stała się również bogato zaopatrzonym rynkiem zbożowym. Dość więc szybko przekształciła się w szeroko znane i cenione miasto imperium rzymskiego. W porcie Rzymu, Ostii, miała swoje nabrzeże udekorowane półkolistymi arkadami i piękną mozaiką z postacią słonia i napisem „Statio sabratensium". O jej znaczeniu i pewnej niezależności świadczyły własne monety, bite w Sabracie w końcu I i na początku II w. n.e. Nosiły one fenicką nazwę *sbrtn* i ozdobione były wizerunkami opiekuńczych bóstw miasta: Herkulesa, Serapisa, Merkurego i Bachusa, a także głową cesarza Augusta. Wokół miasta rozciągały się latyfundia patrycjuszy, w których uprawiano różne gatunki zbóż, oliwki, winorośl i drzewa cytrusowe.

Sabrata nie była jednak tak bogatym miastem jak Leptis Magna, nie cieszyła się też nadmierną łaskawością rzymskich imperatorów, toteż jej budowle nie były tak wspaniałe jak w trypolitańskiej stolicy. Głównym materiałem budowlanym używanym w Sabracie był piaskowiec czerpany z miejscowych kamieniołomów. Kamienne ściany pokrywano twardym gipsem, który można było dowolnie modelować i malować tworząc ozdobne detale architektoniczne. Marmur zaczął się tutaj pojawiać dopiero w II w. n.e., ale nie tak obficie jak w Leptis Magna. Nawet w najważniejszych budynkach publicznych marmurowe dekoracje znajdowały się tylko na frontonie. Ściany boczne i tylne zdobiono sztukaterią.

W ciągu dwóch pierwszych stuleci naszej ery miasto osiągnęło swój ostateczny kształt. Zabudowano forum, wytyczono dziesiątki ulic, wzniesiono mury kurii, łaźni i innych budynków publicznych. Powstał teatr i amfiteatr oraz liczne świątynie dedykowane bóstwom rzymskim, fenickim i egipskim. Wąskie uliczki obudowano dwukondygnacjowymi willami, obficie zdobionymi mozaikami i ściennymi malowidłami. Na morskim brzegu powstał mały port.

Losy Sabraty związane były z losami Trypolitanii i całego imperium rzymskiego. Walki między katolikami a donatystami prowadzone w III i IV w. w całej Afryce Północnej osłabiły na tyle miasto, że stało się ono łatwym celem grabieżczych najazdów różnych plemion koczowniczych.

Spór gubernatora afrykańskiej prowincji Bonifacjusza ze stolicą imperium sprowadził do Afryki Północnej króla Wandalów Genserika, który na czele swych oddziałów przybył w sukurs rzymskiemu namiestnikowi. Bonifacjusz zdążył już pogodzić się z Rzymem, ale to nie przeszkodziło Wandalom pozostać w Afryce przez stulecie. W roku 445 podbili oni całą Trypolitanię, łupiąc przy okazji jej miasta. Gdy w 477 r. zmarł Genserik, plemiona berberyjskie powstały do walki z Wandalami. Walki te dały się we znaki trypolitańskim miastom, przede wszystkim Sabracie. Kiedy w 534 r. dzięki pomocy Bizancjum zmuszono Wandalów do odwrotu, Sabrata była już niemal zniszczona. Dźwignęła się z ruin za panowania cesarza Justyniana, kiedy zasłynęła

Granitowe kolumny kurii (usytuowanej w obrębie forum) pochodzą z końca IV stulecia n.e.

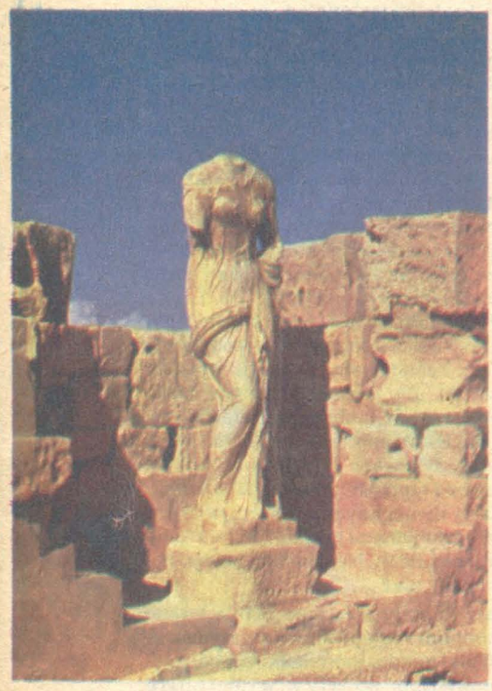

Wśród ruin sabratańskich łaźni zachował się bezgłowy posąg kobiety

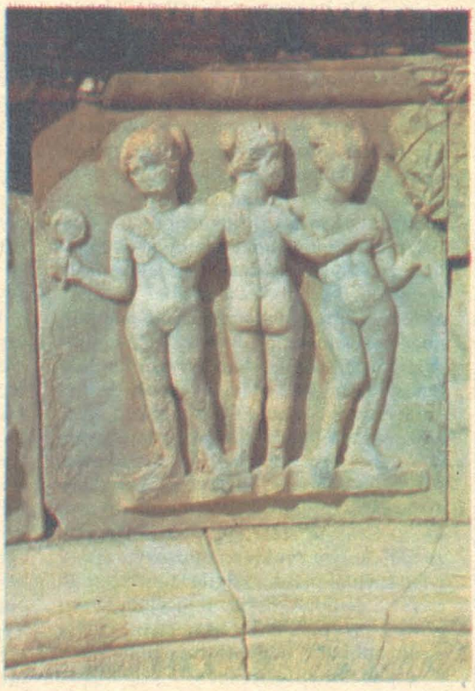

Mitologiczne trzy gracje – fragment płaskorzeźby zdobiącej scenę teatru

Najwspanialszą budowlą Sabraty był teatr wzniesiony w czasach cesarza Kommodusa

wspaniałymi bizantyjskimi mozaikami, ale okres odrodzenia nie trwał długo. Sabrata stopniowo popadła w ruinę i dopiero 1200 lat później została odkopana przez włoskich archeologów.

Jak Leptis Magna słynie dzisiaj w świecie z pozostałości bazyliki Sewerów, tak Sabrata zawdzięcza swą sławę doskonale zachowanym ruinom teatru rzymskiego. Zbudowany w 186 r. n.e., za panowania cesarza Kommodusa, zachował się w tak dobrym stanie, że jeszcze dzisiaj jego scena może gościć aktorów, a audytorium swobodnie mieści kilkuset widzów. Oglądanie antycznej tragedii w niepowtarzalnej scenerii sabratańskiego teatru musi wywrzeć na widzu niezatarte wrażenie. Nawet bez aktorów na scenie, bez scenicznej akcji dramatu teatr gra kolorytem swoich murów, długimi cieniami korynckich kolumn, płaskorzeźbami wyłaniającymi się z marmurowych nisz, dostojną ciszą antycznej budowli.

Kiedy za czasów Justyniana dedykowane bogom rzymskim i fenickim świątynie przebudowywano na kościoły chrześcijańskie, ozdabiano je bogato mozaikami. W obszernych bazylikach podłogi i ściany pokryto kunsztowną inkrustacją z kamienia, terakoty i szkła. Drobne sześcienne kostki utworzyły geometryczne wzory, ornamenty roślinne, zwierzęce motywy i ludzkie postacie. Sabratańskie mozaiki, podobnie jak teatr, przetrwały do dziś wzbudzając podziw dla kunsztu nieznanych twórców. Dysponując skąpą skalą barw, antyczni artyści uzyskali efekty dzięki harmonii kolorów i odpowiedniej fakturze użytego materiału. Niektóre z mozaik są tak misterne, że do złudzenia przypominają gobeliny, zwłaszcza gdy patrzy się na nie z w wysokiego podium zbudowanego w tym celu w muzealnej sali, do której przeniesiono je z terenu wykopalisk. Użycie drobnych kamiennych sześcianów, o boku krótszym od jednego milimetra pozwoliło osiągnąć imitację artystycznej tkaniny z jej półtonami i światłocieniami. Z okruchów kamieni i szkła powstały wspaniałe uroczyste obrazy.

Podczas kilkakrotnych wizyt w tym starożytnym mieście odnosiłem wrażenie, że mimo tych cudownych mozaik, mimo przepysznych ruin antycznego teatru, leżąca na uboczu wielkiego ruchu turystycznego Sabrata popada pomału w zapomnienie. Może to i dobrze. Nie zostanie rozdeptana przez milionowe rzesze turystów, nie rozbiorą jej na pamiątki „miłośnicy" antyku, nie spowszednieje przez powielanie jej widoków w tysiącach folderów i przewodników.

GEOGRAFIA NA ZNACZKACH POCZTOWYCH

DREWNIANE KORONKI

Serię znaczków, z której trzy reprodukujemy, wydała poczta radziecka jeszcze w 1968 r., ale z powodzeniem mogłyby się one ukazać obecnie, gdyż szczególnie w ostatnich latach wzrosło w Związku Radzieckim zainteresowanie zabytkami budownictwa drewnianego i ich ochroną.

W dawnej Rosji, a ściślej w całej jej strefie leśnej, budowano z drewna w zasadzie wszystko – budynki mieszkalne i gospodarcze, świątynie i fortyfikacje, mosty; w wielu grodach drewnem moszczono jezdnie ulic. Surowiec był powszechnie dostępny, mistrzowie ciesielstwa znakomici. Proste z początku budownictwo zaczęło stopniowo przyjmować coraz bardziej zróżnicowane formy. Cieśle-artyści z czasem opanowali umiejętności wyczarowywania w drewnie – za pomocą głównie topora ciesielskiego – ogromnej różnorodności form zdobniczych. Powstawały prawdziwe drewniane koronki, zdobiące nie tylko świątynie i domy mieszkalne, ale również budynki gospodarcze.

MAPY NA KARTACH POCZTOWYCH

MIASTO I RZEKA

Czym byłby Budapeszt bez Dunaju? Trudno powiedzieć. W każdym razie nurt tej potężnej, szerokiej rzeki dodaje miastu wiele uroku: zwłaszcza wtedy, gdy spoglądamy na rozległą panoramę węgierskiej stolicy ze szczytu Wzgórza Gellerta. Wzgórze to, zaznaczone na mapce sylwetką smukłego pomnika, ma 222 m wysokości i opada stosunkowo stromymi, wapiennymi ścianami ku rzece. Na szczycie znajdował się niegdyś turecki zameczek, później austriacka cytadela, dziś jest tu pomnik wzniesiony ku czci żołnierzy radzieckich poległych w walkach o wyzwolenie miasta spod władzy hitlerowców i rodzimych węgierskich faszystów.

Lewy brzeg rzeki jest płaski i zabudowany aż po horyzont domami mieszkalnymi. Brzeg prawy urozmaicają wzgórza, do których należy i nasz punkt widokowy, Wzgórze Gellerta. Dalej ku północy wznosi się na wzgórzach kompleks zamku (Var), odbudowanego niedawno po zniszczeniach wojennych, oraz stare miasto Buda.

Tu trzeba od razu wyjaśnić, że miasto Budapeszt istnieje dopiero od 1873 r. Do tej daty istniały obok siebie i funkcjonowały prawie niezależnie trzy miasta – Peszt na lewym brzegu, na prawym Buda (stare miasto o tradycjach jeszcze średniowiecznych) i Óbuda, czyli „stara Buda" – miasteczko zbudowane na ruinach starożytnego rzymskiego Aquincum. Właśnie w 1873 r. połączono trzy miasta i utworzono nazwę Budapeszt, która w uszach współczesnych – jak świadczą ówczesne gazety – brzmiała sztucznie i dziwacznie.

O połączeniu miast zadecydowały w ostateczności mosty. W początkach XIX w. był jeden tylko most, łyżwowy, zdejmowany na zimę i nie używany w czasie powodzi. Dziś tylko w obrębie zwartej zabudowy miasta czynnych jest sześć mostów, na peryferiach znajdują się dalsze, w tym kolejowe.

Początek zwalczania bariery komunikacyjnej, jaką był Dunaj, dała... ogromna powódź w 1838 r., kiedy to wezbrane wody Dunaju zatopiły znaczną część Pesztu i niżej położone ulice Óbudy i Budy. Wkrótce rozpoczęto ujarzmienie rzeki, budując potężne kamienne obwałowania i regulując bieg Dunaju. Z ini-

Niektóre formy zdobnictwa, związane z samą specyfiką drewnianego budownictwa, powtarzały się w różnych, nawet odległych od siebie regionach, inne stały się cechą regionalnego stylu. W zasadzie wytworzyły się trzy duże regiony, różniące się między sobą motywami zdobnictwa – północny, obejmujący rozległy obszar zachodniej Karelii po rzekę Peczorę (region ten nazywano często Zaoneżem, jako że – patrząc ze stołecznego Petersburga – znajdował się za jezorem Onega); centralny, ciągnący się od ziem białoruskich po środkową Wołgę; północno-wschodni, obejmujący ziemie między Wołgą a Uralem. Bardzo rozpowszechnione na Syberii zdobnictwo w budownictwie drewnianym nie miało jednolitego charakteru, gdyż związane było z miejscem pochodzenia osadników rosyjskich.

Najpełniej sztuka drewnianego budownictwa rozwinęła się na Zaoneżu, zapewne dlatego, że nie odczuwało ono tam konkurencji ze strony budownictwa murowanego. Świątynie i dwory bojarskie, które w innych regionach wznoszono w większości z kamienia i cegły, na Zaoneżu budowano niemal wyłącznie z drewna. Tam też znajduje się większość najwartościowszych zabytków budownictwa drewnianego, w tym słynny zespół monasteru w Kiżach, będący atrakcją turystyczną na skalę światową.

Umiejętności ciesielskie były na Zaoneżu tak rozpowszechnione, że większość budynków użytkownicy stawiali sobie sami. Ale sztukę zdobniczą posiedli przede wszystkim cieśle-artyści, którzy swoją wiedzę przekazywali uczniom, najczęściej synom. W czasie sezonu letniego – od końca maja do połowy września – przemierzały kraj wędrowne zespoły, które na zamówienie wznosiły potrzebny obiekt. Dla tych, którzy budowali sami, a nie wszystko umieli sobie przygotować, odbywały się „szczepkowyje bazary", targi, na których można było nabyć potrzebne prefabrykaty do zestawiania drewnianych ozdób.

Do zabytków budownictwa drewnianego przez długi czas nie przywiązywano w Związku Radzieckim należytej wagi. Wpływ na to miało wiele czynników, między innymi to, że obiekty drewniane zazwyczaj bywały anonimowe, nie były związane z osobą żadnego znakomitego budowniczego. Nie bez znaczenia było także peryferyjne – w stosunku do ośrodków życia kulturalnego – położenie znakomitej większości zabytków drewnianych.

Na dobrą sprawę zajęto się nimi energiczniej dopiero w ostatnim dziesięcioleciu. Wprawdzie już wcześniej przeprowadzono rewaloryzację bardziej atrakcyjnych obiektów, m. in. wspomnianego zespołu w Kiżach, ale budowle o mniejszym znaczeniu przez długi czas nie były nawet zinwentaryzowane.

Kiedy przed parunastu laty pojawiły się projekty przerzucenia na południe części wód Peczory, Wyczegdy i Suchony, wymieniono przy okazji obiekty zabytkowe, które znalazłyby się na dnie przyszłych zbiorników na tych rzekach. Wzbudziło to szeroki rozgłos nie tylko pośród miłośników starego budownictwa. Z projektu hydrotechnicznego z czasem zrezygnowano, ale zainteresowanie rosyjskim budownictwem drewnianym pozostało. Zrodził się ruch społeczny zmierzający do ochrony zabytków z drewna.

Poczynania idą w dwóch kierunkach. Większe obiekty i zespoły, najczęściej sakralne, konserwuje się na miejscu, natomiast rozproszone zazwyczaj stare domy mieszkalne i budynki gospodarcze skupia się w skansenach.

Największy tego typu skansen powstaje w Małych Korelach pod Archangielskiem, gdzie gromadzi się ciekawsze zabytki całego Zaoneża. Znalazły się tu już parterowe i piętrowe budynki mieszkalne, cerkiewki wiejskie, wiatraki i spichrze, łaźnie i pralnie...

Historycy sztuki stwierdzili, że w różnych częściach Zaoneża wytworzyły się nieco inne style zdobienia budynków drewnianych i zaproponowali, by w skansenie w Małych Korelach uwzględniono te cechy regionalne. Dlatego cały obszar skansenu – 78 ha – podzielono na sześć sekcji. Są to: 1) kargopolsko-oneska, gdzie reprezentowane jest budownictwo wschodniej Karelii i południowo-zachodniej części obwodu archangielskiego; 2) północno-dźwińska – okolice Archangielska i region nad dolną Dźwiną; 3) białomorska – wybrzeża Morza Białego; 4) waska – region nad rzeką Wagą na południu obwodu archangielskiego; 5) mieżeńska – dolna część dorzecza rzeki Miezeń; 6) pineska – dorzecze Pinegi.

W skansenie zdołano skupić grupę cieśli-artystów, bardzo nielicznych już dziś przedstawicieli ginącego rzemiosła. Zajmują się oni dorabianiem brakujących fragmentów konstrukcji i ozdób, a także przekazują swe umiejętności młodym. W czasie wakacji zjeżdżają się tu studenci szkół artystycznych i uczniowie techników tego profilu, by prezentować sobie nawzajem wiedzę o strojach, muzyce ludowej i tańcach Zaoneża, a także sprzęty i wyroby ludowe. Ta akcja, trwająca już kilka lat, zapewne przeobrazi się z czasem w festiwale lokalnej sztuki i obyczajów. Do Małych Koreli zaczęli zaglądać już projektanci konfekcji i wyrobów pamiątkarskich nie tylko z pobliskiego Archangielska...

Na zakończenie – kilka słów o obiektach, zaprezentowanych na znaczkach. Ten za 3 kopiejki pokazuje dom piętrowy z Zaoneża wzniesiony w 1876 r. Na znaczku za 4 kopiejki przedstawiono rzeźbioną ościeżnicę furtki i fragment wrót jakiegoś większego obiektu z obwodu gorkowskiego; w obwodzie tym najwięcej zabytków drewnianych zachowało się nad środkową Wietługą. Wreszcie znaczek za 6 kop. prezentuje słynną 22-kopułową drewnianą cerkiew Przeobrażeńską w Kiżach, wzniesioną w roku 1714; obok z prawej widoczna jest znacznie młodsza, również drewniana dzwonnica (1874 r.). Na pierwszym planie widać wody jeziora Onega, jako że cały zespół zabytkowy Kiże wznosi się na jednej z jego skalistych wysp.

E. K.

---

cjatywy wybitnego pozytywisty węgierskiego Istvana Szechenyi, zbudowano następnie pierwszy stały most (widoczny na mapce u góry) wedle projektu i pod kierunkiem angielskiego inżyniera Williama Clarka. Most – znany jako Lanchid (most Łańcuchowy) miał nowatorską konstrukcję, 375 m długości i 48 m wysokości i uchodził w owym czasie za wybitne dzieło techniki.

Następny w dół rzeki (drugi od góry na mapce) to most Elżbiety (Erzsebet-hid) odbudowany po wojnie w 1964 r. nie wedle historycznego kształtu, lecz w sposób na wskroś nowoczesny, jako lekka, wisząca na stalowych linach konstrukcja stalowa. Trzeci – to most Wolności (Szabadsag-hid) również odbudowany po wojnie, lecz w sposób tradycyjny (stalowe kratownice). Ostatni z widocznych mostów im. Petöfiego ma znaczenie podrzędne, prowadząc ruch na obwodnicy miejskiej.

Obserwując panoramę miasta z licznymi mostami, warto zastanowić się nad rolą tychże mostów w rozwoju Budapesztu. Jeszcze w połowie XIX w. było to miasto stosunkowo niewielkie (Peszt, Buda i Óbuda liczyły łącznie z wiejskimi przedmieściami w 1869 r. tylko 312 tys. mieszkańców). Na przełomie stuleci ludność stolicy Węgier zbliżała się już do miliona, by w 1920 r. przekroczyć 1200 tys. Dziś co piąty Węgier mieszka w stolicy – miasto liczy około 2 mln mieszkańców.

Urbaniści w połowie ubiegłego wieku planowali nie tylko śmiało, lecz również rozumnie: mosty umożliwiały szybki rozwój miasta, faktycznie połączyły zabudowę na obu brzegach rzeki w jeden organizm miejski; dziś nawet, przy ogromnym ruchu samochodowym, wystarczają dla zapewnienia komunikacji bez większych korków.

Niezamierzonym efektem pracy pozytywistów okazała się jeszcze jedna funkcja mostów: dodają one miastu uroku, stanowią jego ozdobę, podziwiane są i chętnie fotografowane przez miliony turystów. Czym byłaby panorama Budapesztu bez mostu Łańcuchowego z jego romantycznymi wieżyczkami i posągami lwów? Bez jasnej, smukłej sylwetki mostu Elżbiety? Bez staroświeckiej kratownicy mostu Wolności? Nie lekceważmy i tej funkcji! Węgry w ubiegłym roku odwiedziło 9 mln turystów, a ogromna ich większość przewinęła się przez stolicę. Dunaj w rzeczywistości nie jest błękitny, lecz szarobrunatny. Bez sylwetek mostów widok jego byłby nudny, pozbawiony kontrastów, zupełnie nieciekawy.

P. Burchard

PS. Pocztówkę z planem Budapesztu nadesłał nam pan Henryk Derleta z Radomia.

PRZEZ LĄDY I MORZA

Studnie w Kara-kum

Pustynia Kara-kum jest terenem wypasu ogromnych stad owiec, w tym i karakułowych. Wystarcza im skromna pasza, ale muszą mieć wodopoje. Funkcję tę pełni w pustyni 6 tys. studzien. Każda ma nazwę, w której wspomniane jest imię jej twórcy lub charakter studni. Jeśli studnia nazywa się Jeki-dże (po turkmeńsku: samotna), to wiadomo, że w sąsiedztwie innych źródeł wody nie ma. Najgłębsza w Kara-kum studnia znajduje się w rejonie miasteczka Kuszka i nosi nazwę Chommat – od imienia jej twórcy. Jej głębokość przekracza nieznacznie 200 m. Istniejące studnie w zasadzie wyczerpują podziemne zasoby wód słodkich w pustyni, ale obecnie czynione są próby wykorzystywania źródeł wody słonawej lub słonej. Urządzenia do odsalania będą wykorzystywać energię słoneczną, a tej tu nie brak. (e)

Najstarsza uczelnia Armenii

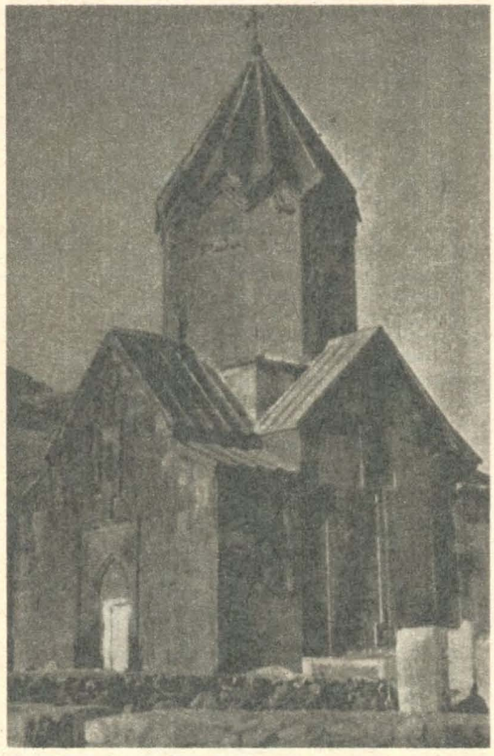

W stuleciach XIII i XIV jednym z ważniejszych ośrodków życia umysłowego Armenii był uniwersytet Gladzor, znajdujący się niedaleko Erewanu. Z czasem jednak uczelnia podupadała – nie sprzyjały jej walki feudałów, najazdy mongolskie i tureckie, dotknęły trzęsienia ziemi. Niektóre wydziały i szkoły uczelni przeniosły się do Erewanu i Eczmiadzinu, ale i tam funkcjonowały z przerwami. Przed kilku laty obchodzono uroczyście w Armenii 700-lecie uniwersytetu Gladzor. Z tej okazji pieczołowicie odbudowano główny gmach sędziwej uczelni – monaster Tanaat (na zdjęciu). Budowla stanowi typowy przykład średniowiecznego ormiańskiego budownictwa sakralnego i jest dziś celem licznych wycieczek. (pm)

ARBAT

Wzorem innych miast europejskich Moskwa wprowadza w historycznym śródmieściu strefy zamknięte dla ruchu kołowego. Jedną z pierwszych ulic, na których dopuszcza się jedynie ruch pieszy, jest Arbat. Pięć wieków temu była to jedna z nielicznych ulic Moskwy o ciągłej zabudowie; była to zarazem najbardziej egzotyczna ulica grodu, bowiem koncentrowali się na niej kupcy ze Wschodu. Na przełomie XIX i XX w. skupiało się na Arbacie życie kulturalne – tu powstało pierwsze kino nieme, a w lokalu, gdzie dziś mieści się restauracja „Praga", bywali często Bunin i Gorki, Błok i Briusow, Riepin i Szalapin. Bezpośrednio po rewolucji w kawiarni „Arbacka Piwnica" Majakowski i Jesienin deklamowali swe nowe wiersze, wiele utworów poświęcił tej ulicy Bułat Okudżawa. Lokalom handlowym i kulinarnym Arbatu przywraca się obecnie ich tradycyjny wygląd, najczęściej z końca XIX w. (ab)

Ropa z morza

Od czasu podjęcia wydobycia ropy z olbrzymich złóż zachodniosyberyjskich stosunkowo rzadko wspomina się o Baku i ropie Azerbejdżanu. Ale i tam wydobycie doskonałych gatunków ropy trwa, z tym tylko, że eksploatacja złóż przesunęła się na szelf Morza Kaspijskiego. Najdalszym od lądu złożem jest pole naftowe „28 Kwietnia", gdzie ustawiono platformę wydobywczą „Szelf-2". Morze ma w tym miejscu głębokość 170 m, a ropa pochodzi z głębokości przeszło 3 km. Praca załóg platformy odbywa się systemem wachtowym – po 12 dniach pracy naftowcy mają tyleż dni wolnego. Zdjęcie przedstawia moment wymiany załóg, które przylatują na platformę śmigłowcem. (pm)

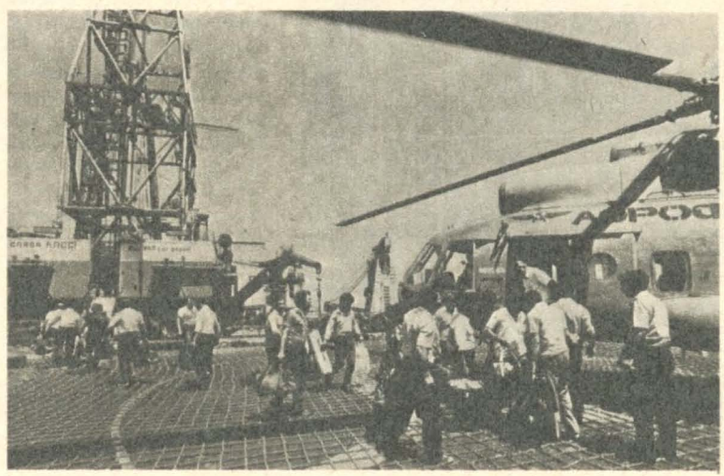

Z ŁUKIEM NA SŁOŃCE

Bardzo dawno temu świeciły na niebie trzy słońca. Na Ziemi było tak gorąco, że woda wrzała w rzekach i nie można było łowić ryb. Dopiero dzielny myśliwy Kado dwiema strzałami z łuku strącił z nieba zbędne słońca, a jego wierna towarzyszka Mimilczi wprowadziła rzeki w ich koryta i na Ziemi zapanował porządek. Ta stara legenda nanajska zilustrowana jest w petroglifach na bazaltowym urwisku Gaczi nad dolnym Amurem. Latem przebywała tam ekspedycja archeologiczna, która nie tylko badała owe rysunki naskalne, znane zresztą od końca ub. wieku, ale prowadziła w sąsiedztwie prace wykopaliskowe. Między innymi na jednej z wysp na Amurze odsłonięto nekropole z licznymi grobami z VII-XII w.n.e. Znaleziono tu najprzeróżniejsze przedmioty wkładane do grobów – od glinianych dzbanów po ozdobne pasy szamanów. (mad)

Na kołach i na płozach

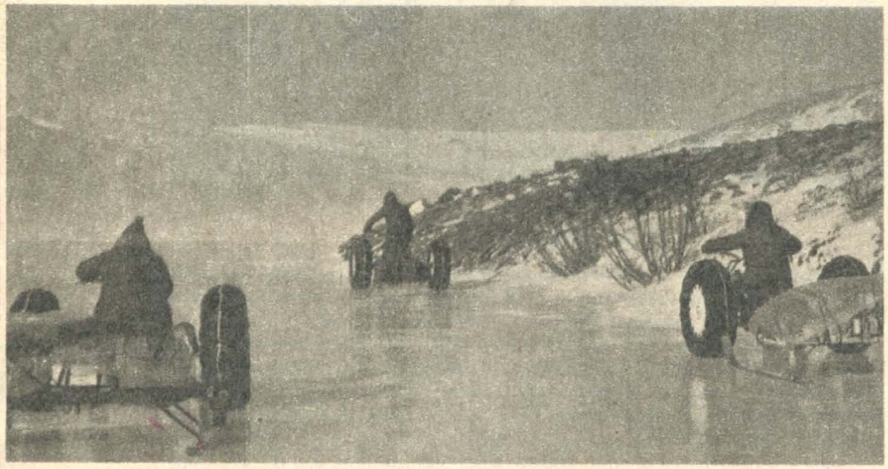

Zimą na rozległych obszarach tundrowych Związku Radzieckiego najczęściej używane są sanie motorowe „Buran", produkowane seryjnie. Nie cieszą się one uznaniem użytkowników, dlatego też od czasu do czasu pojawiają się samodzielne konstrukcje amatorów. Minionej zimy grupa majsterkowiczów z Tuły wypróbowywała w podgórskiej tundrze na wschód od Workuty własną konstrukcję – pojazdy kołowo-płozowe napędzane silnikiem motocyklowym. Silnik porusza kołami z dętkami ciągnikowymi, opatrzonymi łańcuchami. Część bagażowa pojazdu opiera się na płozach. Przy konstrukcji twórcy pojazdu wykorzystali gotowe części motocykla, ciągnika i samochodu „moskwicz". Zdjęcie przedstawia próby nowego pojazdu na lodzie zamarzniętej rzeki Bolszaja Szczuczja. Każdy z trzech egzemplarzy ma inną konstrukcję płóz. (mad)

Na poligonie Laur

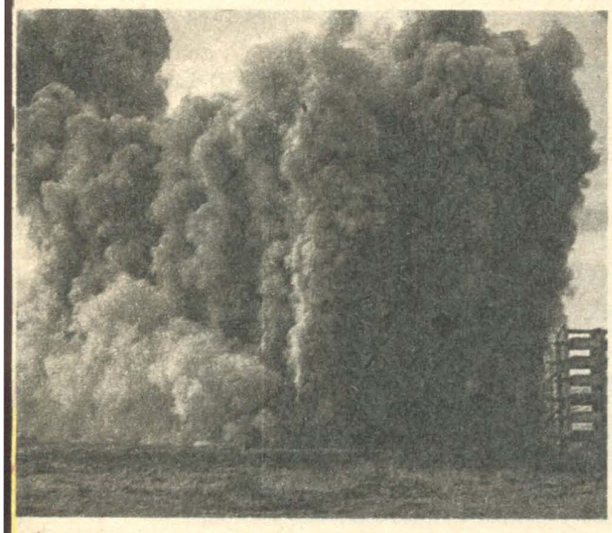

Częste w Tadżykistanie trzęsienia ziemi nie powodują już większych szkód w nowym budownictwie; zniszczeniu ulegają zazwyczaj tradycyjnie wznoszone chaty z niewypalanej gliny i łupków. Mimo to badania nowych materiałów budowlanych i nowych konstrukcji antysejsmicznych prowadzi się nieprzerwanie. Terenem badań jest poligon Laur, położony na półpustynnym obszarze niedaleko Duszanbe. Wywołuje się tu podziemne wybuchy i bada wpływ powstających przy tym fal sejsmicznych na zachowanie się modeli nowych konstrukcji. W ten sposób można na żądanie imitować wstrząs sejsmiczny o sile do 9 stopni w 12-stopniowej skali Mercalliego. Na zdjęciu – wybuch na poligonie Laur. (k)

Muzeum w Niżnej Siniaczysze

U nas we wsi Zalipie i kilku innych zdobyło sobie popularność zdobienie chat rysunkami na ścianach zewnętrznych; na Uralu, gdzie zima jest znacznie dłuższa, skracano sobie czas zdobieniem ścian wewnętrznych. Jednak wieś przebudowuje się, stopniowo giną stare chaty z ociosanych bierwion, a wraz z nimi dziełka ludowej sztuki i fantazji. Dlatego grupa entuzjastów zajęła się ratowaniem dawnych malowideł. Opracowali oni nawet specjalną technikę rozbierania drewnianych chat bez uszkodzenia wewnętrznych obrazków. We wsi Niżnaja Siniaczycha powstał w 1978 r. niewielki skansen, w którym zgromadzono początkowo kilka chat z ludowymi malowidłami na bielonych ścianach wewnętrznych. Stopniowo skansen wzbogaca się o nowe obiekty. Na zdjęciu – wnętrze jednej z chat. Pośród malowideł przeważają wizerunki fantastycznych roślin. (e)

Z wybrzeży Kamczatki

Mieszkańcy Kamczatki znają tę postać – emerytowany inżynier Władymir Siemionow odbywa wielokilometrowe spacery po piaszczystych i kamienistych plażach wschodnich wybrzeży półwyspu. Jego hobby – to zbieractwo przedmiotów wyrzuconych na piasek przez fale przyboju. Trafiają się przepięknie barwione muszle, odłamki koralowca (prądy przynoszą je z odległości kilku tysięcy kilometrów), pancerze krabów, zęby rekinów i kaszalotów, gładko oszlifowane kamienie ozdobne. Ze znalezisk inżynier Siemionow stworzył wcale interesujące muzeum. Na zdjęciu – jeden z jego eksponatów, część czaszki morsa z okazałymi kłami. Dla oceny ich wielkości pomocne jest pudełko zapałek umieszczone na stoliku. (bor)

Tałnach rośnie w głąb

Kiedy rozbudowywano w zapolarnym Norylsku kombinat miedziowo-niklowy, surowcem dla zakładu były pobliskie płytko położone złoża rud polimetalicznych. Jednakże kombinat produkował więcej niż początkowo zakładano, a złoże okazało się skromniejsze niż sądzono. Należało pośpiesznie szukać nowych pokładów rudnonośnych. Rychło znaleziono je w pobliskim Tałnachu, ale były to złoża położone głęboko, przy czym w wielu miejscach zasobność rud rosła w miarę posuwania się w głąb. Zmusiło to do stosowania specjalnej techniki wiercenia szybów przez wieczną marzłoć i twarde skały. Pozyskanie rudy zawierającej miedź, nikiel, kobalt i oczywiście siarkę jest duże – wystarcza jej dla kombinatu w Norylsku, a nadwyżki wywozi się morzem do zakładów na półwyspie Kola. Ostatnio oddano w Tałnachu do użytku najgłębszy z kopalnianych szybów; sięga on 1521 m w głąb ziemi. (bor)

Na rzece bezimiennej

O znaczeniu gospodarczym Magistralii Bajkalsko-Amurskiej napisano już wiele, ale zupełnie nieoczekiwanie ujawniła się rola BAM-u w rozwoju turystyki – tej prawdziwej, bez hoteli, autokarów i przewodników. Osiedle Czara, które dotychczas związane było ze światem tylko lokalną linią lotniczą z Czytą, stało się dużą i ruchliwą stacją kolejową. Przybywa tu wiele grup turystycznych, które penetrują stąd obszerny region, jeszcze prawie zupełnie nieznany. Miejscowe władze nie stawiają temu ruchowi przeszkód, bowiem przybysze są zwykle otrzaskani z tajgą i dostarczają wiele informacji o niezbadanych obszarach. Na zdjęciu – spływ górskim dopływem rzeki Czary, który jeszcze nie ma nawet nazwy. (mad)

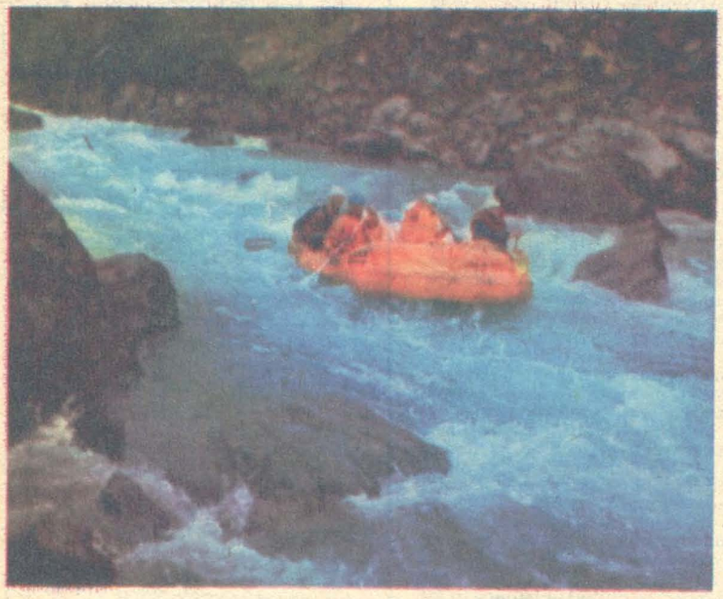

W wąwozie Sorgotá

Budowa wielkich siłowni w dolnym biegu rzeki Naryn w Kirgizji dobiega już końca, teraz przyszedł czas na zagospodarowanie środkowego odcinka tej potężnej rzeki górskiej. W wąwozie Sorgotá, a ściślej na płaskowyżu u jego wylotu powstać ma – w sercu Tien-szanu – nowe miasto dla 15 tys. mieszkańców, a wyżej w samym wąwozie, kaskada trzech Siłowni Kambartyńskich. Wody przyszłego zalewu wypełnią kotlinę o nazwie Ketmen-Tiubé, dlatego też budowniczowie postanowili nazwę tę przenieść na powstające miasto. Z uwagi na trudności transportowe z jednej strony, a dostatek surowców budowalnych na miejscu z drugiej, wszystko co potrzebne będzie się produkować na placu budowy. Dlatego też pierwszymi obiektami w przyszłym mieście będą betoniarnia i wytwórnia prefabrykatów budowlanych. (pm)

„Biegun Północny-28"

W pierwszej połowie kwietnia wiatry sztormowe zaczęły kruszyć pole lodowe, na których od trzech lat czynna była stacja arktyczna „Biegun Północny-26". Stację ewakuowano. A w półtora miesiąca później wysadzono z samolotów na lód nową stację – „Biegun Północny-28". Rozmieściła się ona na polu lodowym o powierzchni około 30 km i średniej grubości 5 m. Załoga stacji jest – po raz pierwszy od 1969 r. – młodzieżowa. Miała ona początkowo duże trudności z wyborem miejsca na bazę i budowę lodowego pasa startowego dla samolotów, gdyż olbrzymia kra jest w wielu miejscach zawalona torosami (zwałami brył lodu). (mad)

Dżejrany z Tygrysiego Jaru

Rezerwat w dolnym biegu rzeki Wachsz w Tadżykistanie nosi nazwę „Tygrysi Jar", gdyż dawniej, być może jeszcze na początku naszego stulecia, królował tu tygrys bucharski. Wielkiego kota dawno już nie ma, ale rezerwat pełni istotną rolę w ochronie wielu innych gatunków zwierząt regionu. W skład rezerwatu o obszarze 52,2 tys. ha wchodzi pas tugajów (las nadrzeczny), a także step i półpustynia na przyległym płaskowyżu. Ten ostatni obszar jest ostoją m.in. dżejrana – antylopy środkowoazjatyckiej, pilnie chronionej z powodu groźby wytępienia przez kłusowników (w tradycji środkowoazjatyckiej dżejran uchodzi za popisowy łup myśliwego). Na zdjęciu – dżejran-samiec z rezerwatu „Tygrysi Jar"; samice tego gatunku są bezrogie. (bor)

Wróble pod ochroną

Wydawać by się mogło, że trudno o pospolitsze i wytrzymalsze ptaki niż wróble. A jednak w radzieckiej „Czerwonej Księdze", oficjalnym spisie gatunków podlegających całkowitej ochronie, znalazły się także dwa gatunki wróbli – sachaliński wróbel rudy i mongolski wróbel ziemny. Pierwszy jest ptakiem wędrownym, lato spędza w nadrzecznych lasach Sachalinu, a na zimę odlatuje do Japonii; tam jego ulubionym pokarmem są młode pędy roślin i dlatego japońscy ogrodnicy skwapliwie go tępią. Liczebność jego maleje z roku na rok. Mongolski wróbel ziemny, który żyje w stepach górskich Ałtaju i Tuwy, gnieździ się zwykle w porzuconych norach gryzoni (stąd nazwa: ziemny), łatwo się zaraża i pada często ofiarą epizootii. O potrzebie ochrony wróbla rudego zawiadomiono już japońskie organizacje ochrony przyrody, natomiast przyszłość wróbla ziemnego nie jest jeszcze jasna. (mad)

Wyspa – rezerwat

Wyspa Wrangla o powierzchni 7,3 tys. km^2, oddzielająca morza Wschodniosyberyjskie i Czukockie, jest jednym z młodszych rezerwatów przyrody w ZSRR, obchodzi bowiem właśnie swoje dziesięciolecie. Uzyskała prawa rezerwatu dlatego, że tu reintrodukowano sprowadzone z Alaski woły piżmowe (por. zdjęcie). Wielkie rogacze czują się na wyspie znakomicie. Wyspa jest zarazem swoistą porodówką dla białych niedźwiedzi – każdej jesieni od 250 do 300 samic buduje sobie w śniegu barłogi, w których przychodzą na świat młode. Na płytkich jeziorach pośród polarnej tundry Wyspy Wrangla spędzają lato i wysiadują jaja białe gęsi polarne, a na plażach wyspy znajduje się kilka dużych legowisk morsów. Stała ludność wyspy ogranicza się do kilku pracowników stacji meteorologicznej, okresowo bywają na niej przyrodnicy. (pmm)

Życie po śmierci

Michael Grant. Miasta Wezuwiusza. Pompeje i Herkulanum. Z jęz. angielskiego przełożyła Hanna Rowińska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986, str. 278, ilustr., cena 500 zł.

Miasta Wezuwiusza: Pompeje i Herkulanum, to przede wszystkim ofiary Wezuwiusza-mordercy. Podstępnego i bezwzględnego. Czającego się tak długo i chytrze w głębi ziemi, że od bardzo dawna uznano go za wulkan nieczynny, uspokojony na zawsze. Ludzie zaufali mu tak dalece, że powierzyli mu swe życie bujnie rozkwitające w urodnej Kampanii, nie bez podstaw nazywanej Szczęśliwą. 24 sierpnia 79 r. nagłym, przerażającym wybuchem zerwał myląc pozory łagodności, z rozdartych wnętrzności zaś wyrzucił masy bryłek pumeksu i ogromne chmury popiołu, wywołał niepowstrzymane fale gorącego błota. Kilkumetrowe warstwy tufu i pumeksu pokryte dwumetrową warstwą nagromadzonej przez stulecia gleby złożyły się na szczelną pokrywę Pompeji. Rozżarzona rzeka gorącej, gęstej błotnej lawy zalała Herkulanum. Zastygając zaś w twardą skałę, pokryła je kamienną powłoką, przekraczającą miejscami 18 m. Po stuleciach owe wulkaniczne pokrywy okazały się znakomitym środkiem konserwacyjnym. Przez kilkanaście wieków przechowały najdrobniejsze przedmioty codziennego użytku. Na ich podstawie można było odtworzyć dzień 24 sierpnia 79 r. w tych miastach; wszystko, co się tam wówczas działo, a także to co i jak powstało było przed dniem katastrofy.

Wezuwiusz brutalnie zabił życie, pogrzebał pod skalną pokrywą, ale nie zniszczył. Przechował je nam nienaruszone przez stulecia. Stworzył im nową funkcję, nowe życie po śmierci.

Michael Grant, uznany znawca dziejów i kultury świata antycznego, po przedstawieniu dziejów obu miast oraz rysów charakteru i działalności Wezuwiusza opisuje te miasta szczegółowo. Przedstawia ich rozwój uwzględniając zmiany koncepcji i planów w rytmie ewolucji ich funkcji miastotwórczych. Wiele miejsca poświęca budownictwu i urządzeniom komunalnym, miejscom poświęconym społecznemu życiu ich mieszkańców.

Poszukiwania, odkrywanie, badanie i obrazowanie codziennego życia cywilizacji grecko-rzymskiej to naczelny temat pracy Granta i podstawowa część książki o miastach Wezuwiusza. Paradoksalnie te umarłe miasta, tragiczne miasta-cmentarze, stały się żywym źródłem poznania antycznego życia we wszystkich jego przejawach. Życie w miastach Wezuwiusza wiązało się ściśle z religią różnego rodzaju: oficjalną, tradycyjną, prywatną, nawet tajemną. Przykłady życia religijnego przejawia dziś dziesiątek pompejańskich miejsc różnych kultów. Codzienne życie mieszkańców toczyło się na ulicach i placach publicznych, w domach prywatnych. Wizerunki zachowanych domów w obu miastach pokazano na szczegółowych planach oraz ilustracjach z wyjaśnieniem funkcji różnych typów domów i różnych ich części. Nierozerwalną częścią architektury miast wezuwiańskich są malowidła, sztukaterie, mozaiki, których bardzo niewiele zachowało się w innych miastach greckich i rzymskich. Pokaz dzieł sztuki pompejańskiej i herkulańskiej zajmuje wiele stron książki Michaela Granta.

Równie ważny jest krótszy rozdział omawiający podstawowe środki życia mieszkańców miast, rolnictwo i rzemiosła. W samych Pompejach wyjątkowe znaczenie miał handel, uprawiany niemal przez wszystkich obywateli. Odkopane miasto odsłania przedmioty produkcji i obrotu rzemiosła i handlu oraz wyraźną ekspansję handlu z miejsc uprzednio przewidzianych dla tych celów do wszystkich części miasta. Nie mniej ważny jest rozdział opisujący życie polityczne, ujawniający przyjęte metody zdobywania wpływów, głosów i stanowisk. Pokazano wiele przejawów życia zupełnie prywatnego, łącznie z najbardziej intymnymi. Źródłem wszechstronnych wiadomości o życiu w Pompejach są m.in. licznie ujawnione napisy malowane lub ryte na murach instytucji oraz wszelkich urządzeń publicznych, w nie reprezentacyjnych zakamarkach miejskich, a wyrażające ściśle prywatne poglądy autorów w różnych sprawach. Charakterystyczne są łacińskie wyrazy nieprzyzwoite, pojawiające się w napisach obu miast niemal wszędzie. Niektóre – jak obliczono – występują sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt razy! „Nie wykluczone" – głosi autor – „że tyle sprośności znaleziono by także na murach innych miast starożytnych, gdyby przetrwały do naszych czasów w takim stanie jak Pompeje. W inskrypcjach pompejańskich pojawia się także niedostrzegalne zazwyczaj w dzisiejszych napisach – podkreślenie prawa do kochania i bycia kochanym." Nie na darmo – akcentuje Grant – Wenus była patronką tego miasta!

Książka zawiera epilog opisujący dzieje poznania obu miast po katastrofie oraz systematycznie prowadzonych wykopalisk z uwzględnieniem metod rekonstrukcji i ekspozycji zabytków. Do każdego rozdziału dodano wartościowe przypisy, na końcu zaś bibliografię, spisy ilustracji, mapek i planów miasta, a także poszczególnych domów. Trzeba dodać, że ilustracje, których jest w sumie 166, są znakomicie dobrane w aspekcie głównego celu książki – wszechstronnego pokazu tych miast w obrazach wyjętych wprost z normalnego, codziennego życia sprzed stuleci; nie jako szacownych muzealnych zabytków.

Ta książka robi głębokie wrażenie. Zawiera mnóstwo ważnych i poważnych wiadomości, częściowo nowych, naukowo udokumentowanych. A napisana jest tak, że ten wcale nie lekki ładunek przyjmuje się z nieustającym zainteresowaniem. Czytałem ją jak romans kryminalny. Zasługa to pisarstwa Granta, który potrafi sprawy proste jak życie i śmierć wyrazić również prostymi, zrozumiałymi słowami. Ale z pewnością także polszczyzny tłumaczki Hanny Rowińskiej. Obojgu chwała!

Roman Biesiada

Warunki prenumeraty „Poznaj Świat"

1. Osoby prawne – instytucje i zakłady pracy:
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", zamawiają prenumeraty w tych oddziałach;
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.
2. Osoby fizyczne – indywidualni prenumeratorzy:
– osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
– osoby fizyczne zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch".
3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
4. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i zagranicę:
– do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz rok następny;
– do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
5. Cena prenumeraty:
– prenumerata roczna 360 zł;
– półroczna 180 zł;
– kwartalna 90 zł.

Poznaj Świat

POSZUKUJE – ODSTĄPIĘ

Koszyk Joanna, 58-534 Ścięgny 117, woj. jeleniogórskie, odstąpi numery: 2, 3, 4, 6, 8, 11/81; 2, 3, 6, 7, 10/82; 4–7, 10, 11/83.

Pieluszczak Zygmunt, ul. Korczaka 1c/4, 59-850 Świeradów Zdrój poszukuje roczników 1948, 1949, 1950, 1955 i numerów 7/56; 11/57; 1/61; 1/79; 5/80; 11, 12/82; 2–4/84; 1, 3, 10/85; odstąpi numery: 8/62; 10/65; 7, 8/74; 3/76; 7, 9/79; 2–4, 7, 9, 11/80; 3, 8, 11/81; 1–5, 7, 8/82; 1–5/83; 6/85.

Pustówka Maksymilian, ul. Czytelni Ludowej 5a, 43-400 Cieszyn odstąpi numery: 10/82; 9, 11/83.

Tryksza Beata, ul. Świerczewskiego 30a/22, 22-100 Chełm poszukuje numerów 1–4/86.

NOWE KSIĄŻKI

Jerzy Dudziński. Najsłabiej rozwinięte kraje trzeciego świata. Wydawnictwo „Glob", Szczecin 1986, str. 190, cena 130 zł.

Termin „trzeci świat" stosowany jest do grup krajów Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, których gospodarka ma pewne wspólne cechy, a mianowicie m.in. rolniczo-surowcowy charakter, nikły udział przemysłu w tworzeniu dochodu narodowego, niski poziom techniki produkcyjnej, opanowanie intratnych gałęzi gospodarki przez obce kapitały, niedożywienie ludności. Ale mimo cech wspólnych kraje „trzeciego świata" wykazują znaczny i stale zwiększający się stopień zróżnicowania zarówno pod względem ekonomicznym, jak i politycznym czy społecznym. W ostatnich latach spośród ogółu krajów „trzeciego świata" wydziela się kraje naftowe, które względnie pomyślnie rozwijały się w latach sześćdziesiątych, kraje nowo uprzemysłowione oraz grupę państw najsłabiej rozwiniętych.

Literatura polska dotycząca ostatniej wymienionej grupy państw jest skąpa. Sprowadza się do nielicznych artykułów opublikowanych w trudno dostępnych czasopismach naukowych. niniejsza praca umożliwia więc zapoznanie się z problemami tych krajów szerszemu ogółowi czytelników.

Praca J. Dudzińskiego, oparta na najnowszych materiałach statystycznych, przedstawia różne aspekty życia gospodarczego i społecznego grupy najsłabiej rozwiniętych krajów „trzeciego świata". Zasadniczą część rozważań kończy autor analizą dotychczasowych form współpracy Polski z tymi krajami oraz kreśli perspektywy dalszego rozwoju stosunków handlowych i innych form wzajemnych kontaktów.

Janusz Wolniewicz. Archipelag pięciu kumulusów. Wydanie trzecie poprawione i uzupełnione. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1985, str. 336, ilustr., cena 250 zł.

Wydawnictwo MON wznowiło barwne reportaże Janusza Wolniewicza z długiej podróży, podczas której odwiedził Alaskę, Kalifornię, Florydę, Antyle, Nową Gwineę i Polinezję.

Książka dostarcza wielu ciekawych wiadomości o przyrodzie tych regionów Ziemi, o żyjących tam ludziach, ich różnorodnych problemach, kulturze i obyczajach.

ZAGADKI GEOGRAFICZNE

KRZYŻÓWKA

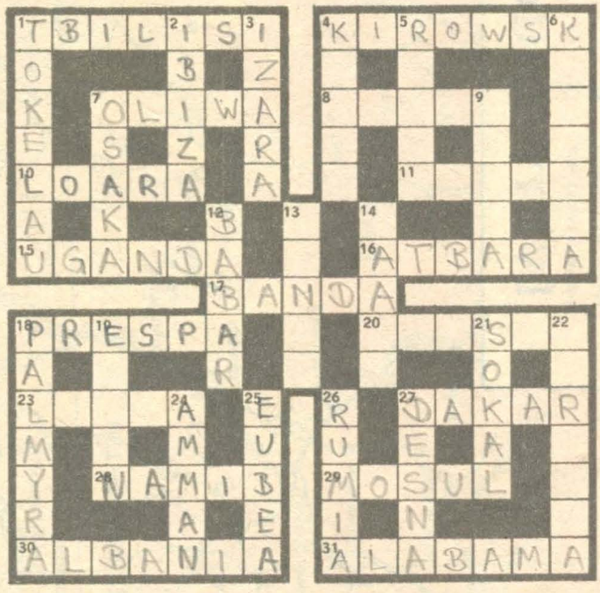

POZIOMO:
1. Stolica Gruzińskiej SRR
4. Miasto na Płw. Kolskim
7. Dzielnica Gdańska
8. Miasto w środk. Szwecji nad jez. Runn
10. Największa rzeka Francji
11. Ssak z rodziny łasicowatych
13. Republika w Afryce Wsch.
16. Miasto w pn. Sudanie, przy ujściu rzeki o tej samej nazwie do Nilu
17. Miasto w Indonezji na pn. Sumatrze
18. Jezioro na granicy Jugosławii, Grecji i Albanii
20. Rzeka w eur. części ZSRR, dopływ Dźwiny
23. Wyspa, bagna i miejscowość o tej samej nazwie w delcie Dunaju
27. Stolica Senegalu
28. Pustynia w Namibii wzdłuż wybrzeża O. Atlantyckiego
29. Miasto w pn. Iraku nad Tygrysem
30. Rep. socjalistyczna na Płw. Bałkańskim
31. Stan w pd.-wsch. części St. Zjed.

PIONOWO:
1. Wyspy koralowe na O. Spokojnym, terytorium zależne Nowej Zelandii
2. Wyspy hiszp. w grupie Pitiuzów
3. Rzeka w Austrii i RFN, prawy dopływ Dunaju
4. Grupa oaz w pd.-wsch. Libii, przy drodze karawanowej z Benghazi do Czadu
5. Wyspa u pn. wybrzeży Norwegii
6. Kraina. w pn. Algerii, na obszarze Atlasu Tellskiego
7. Jeden z największych portów Japonii w pd. części wyspy Honsiu
9. Kraina hist. w pn. Sudanie i pd. Egipcie
12. Grupa wysp na Morzu Banda
13. Prawy dopływ Leny
14. Miasto w środk. Sri Lance
18. W starożytności miasto, obecnie ruiny w środk. Syrii
19. Słone jezioro w ZSRR na Niz. Nadkaspijskiej
21. Miasto w Ukr. SRR nad Bugiem
22. Region w środk. Włoszech w Apeninach i na ich pogórzu
24. Stolica Jordanii
25. Wyspa grecka, której głównym miastem jest Chalkis
26. Miasto na zach. od Gdyni
27. Rzeka w eur. części ZSRR, lewy dopływ Dniepru

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NUMERU WRZEŚNIOWEGO

Krzyżówka. Poziomo: 1. Kanada. 3. Wismar. 6. Mont Blanc. 9. Ural. 10. Aare. 11. Indie. 13. Ocean. 14. Liban. 19. Izmit. 19. Kobe. 21. Anxi. 22. Ostrołęka. 23. Espada. 24. Uganda. Pionowo: 1. Kaługa. 2. Atol. 4. Sana. 5. Rijeka. 6. Maracaibo. 7. Buda. 8. Cartagena. 11. Inari. 12. Egipt. 15. Bukowe. 16. Ambon. 17. Olinda. 20. Esla. 21. Akra.

Zagadka „amerykańska". 1. Juneau. 2. Belize. 3. Nazas. 4. Tarija. 5. Dawson. 6. Fraser. 7. Ottawa. 8. Shasta. 9. Chubut. 10. George. 11. Boston. 12. Nelson. Rozwiązanie: Jezioro Huron.

KRZYŻÓWKA „RADZIECKA"

POZIOMO:
3. Stolica Białoruskiej SRR
5. Rzeka składowa Syr Darii
8. Przedstawiciel ludu tunguskiego zamieszkałego nad dolnym Amurem
9. Miasto w Ukraińskiej SRR nad rz. Turią
10. Republika związkowa ZSRR
12. Stolica Tatarskiej ASRR
13. Wielki i Mały, dopływy Kołymy
14. Drugi człon nazwy zatoki we wsch. części M. Kaspijskiego

PIONOWO:
1. Jezioro na pd. krańcu Ukraińskiej SRR w sąsiedztwie delty Dunaju
2. Jezioro w Kirgiskiej SRR (pierwszy człon nazwy)
4. Półwysep w eur. części ZSRR, pomiędzy M. Białym a Zat. Czoską
5. Rzeka w Estońskiej SRR, która łączy jez. Pejpus z Zat. Narewską
6. Przedstawiciel ludu zamieszkującego pn.-wsch. Kaukaz
7. Jezioro w Armeńskiej SRR, z którego wypływa rzeka Razdan
11. Nazwa grupy największych wysp w arktycznym arch. Wysp Nowosyberyjskich
12. Rzeka w Rosyjskiej FSRR, wypływa na stokach Elbrusu, uchodzi deltą do M. Azowskiego

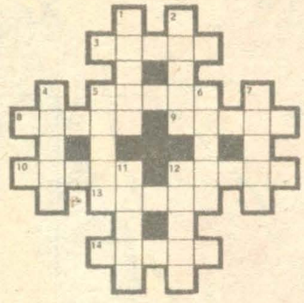

Rozwiązanie na kartach pocztowych prosimy nadsyłać do Redakcji „Poznaj Świat" (ul. Mariensztat 8, 00-302 Warszawa). Pomiędzy Czytelników, którzy nadeślą dobre rozwiązania co najmniej jednej zagadki, rozlosujemy 15 książek.

Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie zagadek w numerze wrześniowym otrzymują: **Anders Wojciech** Poznań, **Białas Tomasz** Gródki, **Błażejowska Agnieszka** Jastrzębia, **Bronka Leszek** Sępólno, **Fedorczuk Andrzej** Gorzów Wlkp., **Gąsior Edward** Tarnów, **Gorczyński Zbigniew** Łomża, **Królak Agnieszka** Warszawa, **Lisowski Robert** Częstochowa, **Miciński Maciej** Łódź, **Nowacki Marek** Łódź, **Pogorzelski Jerzy** Warszawa, **Szewczyk Andrzej** Miejska Górka, **Wasik Irena** Ełk, **Wiśnik Wojciech** Łask.

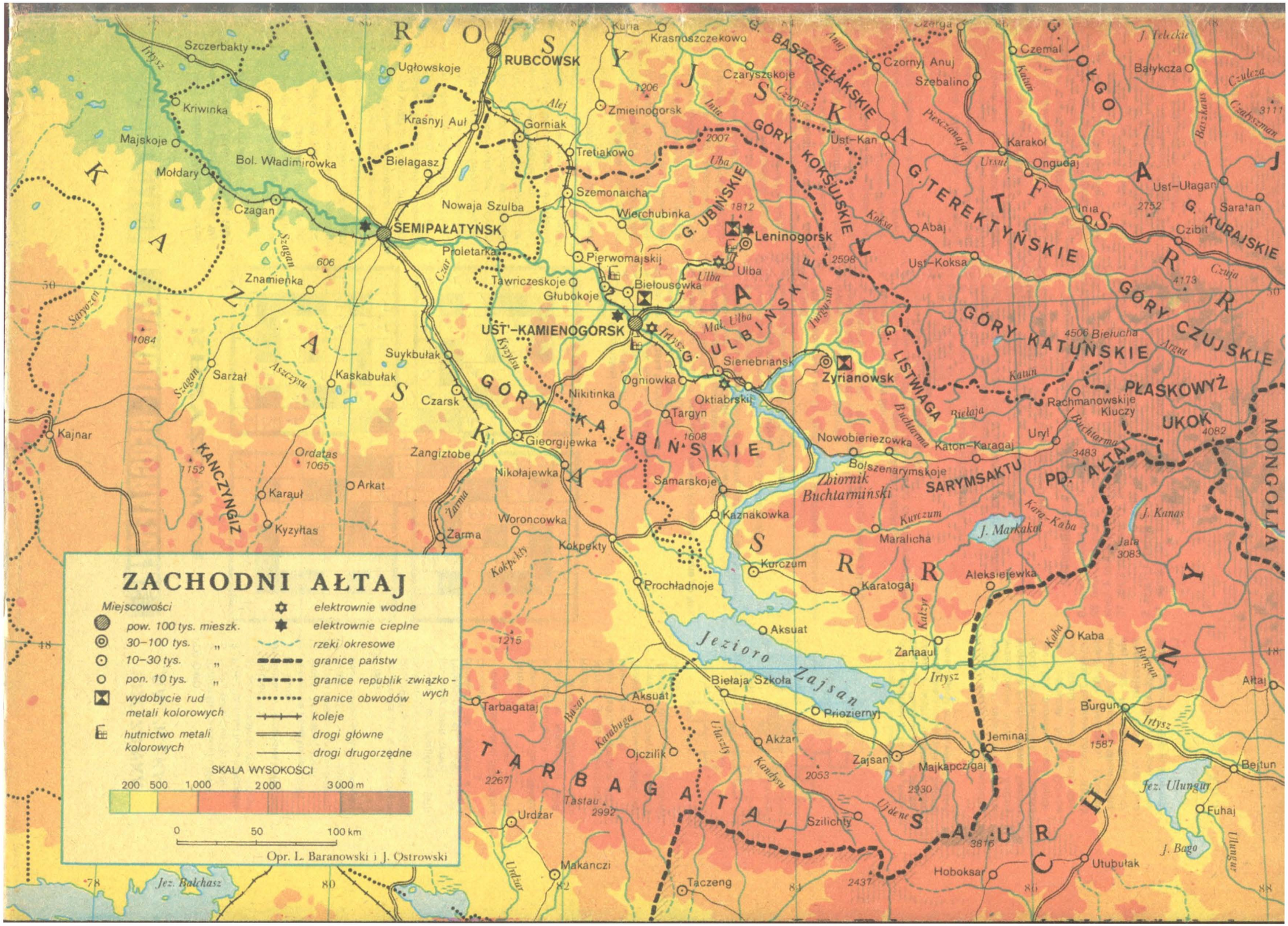
ZACHODNI AŁTAJ
Miejscowości
pow. 100 tys. mieszk.
30–100 tys. „
10–30 tys. „
pon. 10 tys. „
wydobycie rud metali kolorowych
hutnictwo metali kolorowych
elektrownie wodne
elektrownie cieplne
rzeki okresowe
granice państw
granice republik związkowych
granice obwodów
koleje
drogi główne
drogi drugorzędne
SKALA WYSOKOŚCI
200 500 1000 2000 3000 m
0 50 100 km
Opr. L. Baranowski i J. Ostrowski
ROSYJSKA
KAZACHSTAN
RUBCOWSK
SEMIPAŁATYŃSK
UST'-KAMIENOGORSK
Leninogorsk
Zyrianowsk
Sieriebriansk
Ust-Kan
Ust-Koksa
Ust-Ułagan
Czemal
Szczerbakty
Ugłowskoje
Kriwinka
Majskoje
Mołdary
Bol. Władimirowka
Bielagasz
Krasnyj Auł
Gorniak
Tretiakowo
Zmieinogorsk
Kurja
Krasnoszczekowo
Czaryszskoje
Czarny Anuj
Szebalino
Karakoł
Ongudaj
Inia
Czibit
Saratan
Bałykcza
Czagan
Nowaja Szulba
Wierchubinka
Szemonaicha
Proletarka
Pierwomajskij
Tawriczeskoje
Głubokoje
Biełousowka
Ulba
Abaj
Znamienka
Suykbułak
Sarżał
Kaskabułak
Czarsk
Nikitinka
Ogniowka
Oktiabrskij
Targyn
Kajnar
Ordatas
Karauł
Kyzyłtas
Arkat
Zangiztobe
Gieorgijewka
Nikołajewka
Woroncowka
Żarma
Kokpekty
Samarskoje
Kaznakowka
Kurczum
Prochładnoje
Karatogaj
Aksuat
Tarbagataj
Urdżar
Makanczi
Taczeng
Szilichty
Jezioro Zajsan
Biełaja Szkoła
Prioziernyj
Akżar
Ojczilik
Zajsan
Majkapczigaj
Jeminaj
Burgun
Bejtun
Fuhaj
Jez. Ulungur
Hoboksar
Utubułak
Aleksiejewka
Maralicha
Nowobieriezowka
Bolszenarymskoje
Katon-Karagaj
Uryl
Rachmanowskie Kluczy
Zbiornik Buchtarmiński
Kaba
Żanaaul
Altaj
Jez. Bałchasz
Góry Kałbińskie
Góry Ubińskie
Góry Ulbińskie
Góry Listwiaga
Góry Baszczełakskie
Góry Koksujskie
Góry Terektyńskie
Góry Kurajskie
Góry Katuńskie
Góry Czujskie
Płaskowyż Ukok
Pd. Ałtaj
Sarymsaktu
Kanczyngiz
Tarbagataj
Sauchi
Mongolia
Irtysz
Szagan
Czar
Ulba
Kyrgyzka
Aszczysu
Żarma
Kokpekty
Alej
Inia
Koksa
Ubinka
Ursul
Katun
Biełaja
Buchtarma
Kurczum
Kara-Kaba
Kaba
Burgun
Kałżyr
Kanabyga
Bazar
Tastau
Ujdene
Ulungur
Barnauł
Czuja
Czulcza
Baszkaus
Argut
Mat. Ulba
Turgusun
Pieszczanaja
Anuj
Czarysz
1084
606
1152
1065
1608
1206
2007
1812
2598
4173
4506 Biełucha
4082
3483
3083
1587
2053
2930
3816
2992
2267
2437
1215
3111
2752